Nr. 16. Warszawa, dnia 5 (17) Kwietnia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NA POGRANICZU.

Metoda, przyjęta przez Grecyę dla wyśliznięcia się „admirałom,“ mającym porty jej blokować, w dalszych skutkach swoich przyniosła Europie — zbrojne starcie na pograniczu grecko-tureckiem. Przed tygodniem blokada miała niezosobliwe przed sobą widoki. Nie zaniechano wprawdzie pomysłu, owszem, trzymano go ciągle na stole dyplomacyi; ale gdy przychodziło do urzeczywistnienia, znajdowały się zawsze jakieś przeszkody, jakieś zachcianki zrobienia jak najlepiej, i ostatecznie skończyło się na tem, że dotychczas (d. 14 b. m.) nie zrobiono nic, nadchodzące zaś święta pozwalają przewidywać zwłokę tak długą, iż pomysł będzie miał czas ostygnąć, a nikomu już potem nie zechce się go odgrzewać. Nawet Francya, której dobrych chęci podejrzewać przecież nie można, przyczyniła się do tego, dziś już w połowie dokonanego pogrzebania projektu. Rozmowa p. Salisburego z p. Hanotaux w końcu marca, w związku z postawą opinii publicznej w obu krajach, wydała z siebie nową zasadę na pozór popierania, a w istocie niedopuszczenia blokady.

Z tego rozdźwięku dyplomatycznego skorzystała Grecya, aby przez rozpalenie ognia na samym lądzie Europy przerazić umysły ogromem grożącego niebezpieczeństwa i ostatecznie szalę postanowień przechylić na stronę blokadzie przeciwną. Niewątpliwie zachęceni przez Delyanisa, ochotnicy greccy od d. 7 b. m. przemykali się przesmykami górskimi u źródlisk Peneiosa (Salamwria) i jego dopływów, do Albanii i Macedonii i przez dni kilka (daty niepodobna dokładnie oznaczyć) wdzierali się na terytoryum państwa tureckiego, ale narodowości jeszcze greckiej—greckiej mówimy, gdy bowiem w r. 1881, wmyśl Traktatu berlińskiego, dawano Grecyi przyrost od północy, rozpłatano Tessalię, odwieczne greckie, helleńskie dziedzictwo. Walki skupiły się pomiędzy źródliskami Wojusy (Wjoszy), ostatniego dopływu rzeki Wenetiko, wpadającej w Macedonii do Bystrzycy, na rozciągłości jakich 8 mil od zachodniego Metzovonu do wschodniej Diskaty, prawie w środku pogranicza, w miejscu największej jego północności.

Grecy, zapędzając się aż do Kranii, o jakie dwie mile od granicy odległej, rzeczywiście uderzali tylko na stanowiska pograniczne, i z tych udało im się zdobyć jedno większe: Baltino, a właściwie Valtinon, i to w chwili ostatnich doniesień znajdowało się w mocy ochotników. Mniejsze blokhauzy, zajmując, zaraz palono. Walki toczyły się w piątek i sobotę może być, że je ponowiono jeszcze w poniedziałek. Ponieważ Turcy, ulegając dyplomacyi europejskiej, okazali bezprzykładną powściągliwość i odpierając tylko napady, dopuścili się przytem lekceważenia lub braku przezorności, takiego, że partyzanci greccy drobne straże pograniczne mogli bezkarnie osaczać, wybijać lub rozpraszać: wątpić więc nie można, iż rząd grecki mógłby w każdej chwili, gdyby tylko chciał, działania ochotników wstrzymać, a gdy nie wstrzymuje, widać, że chce wywrzeć nacisk na urzędownie gnębiącą go Europę, a może nawet wysnuć pierwsze pasmo wypadków przyszłych, jednorodnych z obecnemi. Turcya miała zrozumiałą bardzo pokusę do wystąpienia czynnego; dywizye z Elassony (na wschodzie) i z Greweny (na północy) posunęła już na południe; wielki wezyr wydawał już rozkaz natarcia, gdy wdanie się p. Saurmy, ambasadora niemieckiego, wywołało telegram samego sułtana, zakazujący wszelkiego działania wstępnym bojem.

Samo tylko wystąpienie ochotników na pograniczu północnem byłoby jeszcze niewinnem próbowaniem zębów, zali gryźć już potrafią. Coś gorszego stało się na południu, nawprost historycznego Actumu, u wejścia do zatoki zachodnio tessalskiej Arta, pod Prewezą. Tam Grecy, już na okrętach państwa greckiego, a może i mający greckich regularnych żołnierzy na pokładzie, usiłowali wysadzić na ląd oddział, przeznaczony do podburzenia południowego Epiru, a gdy Turcy, dawszy ognia, jeden ze statków zatopili, admirał grecki, Kriezis, zażądał od komendanta Prewozy, tj. od rządu tureckiego, zburzenia warowni wbrew traktatowi berlińskiemu tam utrzymywanych. Jeżeli istotnie do wezwania takiego dołączył objaśnienie, że odmowę Grecya uzna za *casus belli*, mielibyśmy już przed sobą wojennie rozpalającą się sprawę rządu z rządem. W każdym razie natarcie na Prewezę było głównem dotychczas działaniem nieprzyjacielskiem. Na tym punkcie Grecya ma najsilniejszą pokusę do wytworzenia jakiegoś faktu prawnego lub materyalnego. Choćby bowiem nawet t. zw. kwestya wschodnia miała jeszcze przed sobą całe

lata istnienia, poprawienie granicy północno-zachodniej, biegnącej obecnie wzdłuż Arty (Arachtos), usunięcie Turcyi z zatoki i odcięcie południowych kończyn Epiru i Albanii do Grecyi — wejść musi już teraz na ten *cahier des doléances*, jaki polityka grecka przygotowała dla Europy. Położenie trzeba nazwać poważnem, a nagromadzenie jakich 150,000 ludzi, czekających tylko na hasło do boju, jest i samo przez się i zwłaszcza na tle walk już rozpoczętych, wypadkiem, wobec którego układanie statutu organicznego dla Krety, oznajmione d. 12 b. m. Izbie niższej angielskiej, śmiesznem tylko być może. Śmieszniejszem tylko jeszcze mogłoby być obmyśliwanie formy guzików dla policyantów kreteńskich.

Tydzień polityczny. Ruszyło się na pograniczu tessalskiem i w zatoce Arta. Szczegóły na wstępie. Dyplomacya nie mogła się dotychczas zdobyć na blokadę portów greckich; układa pilnie statut na podobieństwo rumelijskiego, dla Krety, przez komisarzy też swoich bada rzezie marcowe w Tokacie ormiańskim, gdzie (wraz z okolicą) według parlamentarnego mówcy rządu angielskiego, niestrudzonego p. Curzona, zamordowano 124 osoby, poraniono i pokaleczono 36, a domów splądrowano i zburzono 284. Dyplomacya wszystkie te ofiary nowe strawi równie łatwo, jak strawiła dawniejsze, jeżeli wyższy interes nie nakaże dla własnego interesu zrobić tego, o co daremnie upomina się ludzkość.

Na Krecie pod rządem admirałów zapanowała zupełna anarchia. Turcy ucierają się ciągle z Grekami, którzy są stroną wyzywającą, mając pomoc z artyleryi Vassosa. Strzelają nawet do oddziałów admiralskich na lądzie, i wogóle mało sobie robią z admiralskiej potęgi. Na wielu punktach panuje głód. Stanem normalnym stosunków między obu narodowościami jest wojna — walczy tłum z tłumem, mąż z mężem, nawet kobieta z kobietą i dzieciak z dzieciakiem. Nie walczą ze sobą tylko wtedy, gdy na siebie nie patrzą. Dyplomacya nie posyła admirałom sił większych, a z obecnemi admirałowie, choćby umieli, nic-by dokonać nie mogli. To, co powinno było stać się początkiem, będzie niezawodnie końcem zawieruchy. Usunięcie wojsk tureckich z wyspy pociągnie za sobą i ustąpienie Vassosa, a dzisiejsza armia admirałów zamieni się na policyę wewnętrzną i przestrzegać będzie pokoju między stronami. Na to siły jej wystarczą. Gdyby od tego zaczęto, nie byłoby tego mordowania się, rabowania i palenia, które nie wypełnią karty zaszczytnej dziejów współczesnych.

W Rzymie, gdzie od d. 5 b. m. zasiada wybrany w marcu, nowy, radykalniejszy od poprzedniego sejm, zaniepokoiła się opinia interwencyą władz urzędowych w sprawę grecko-kreteńską. Prezes ministrów, Rudini, dał wyjaśnienie opiewające, że Włochy chcą dochować wiary i chrześciaństwu, i dyplomacyi, a mianowicie koncertowi europejskiemu. Równowaga na morzu Śródziemnem, pokój europejski, wolność, sprawiedliwość i chrześciaństwo, wszystko to znajduje się w koncercie: niech więc przedstawiciele narodu dadzą rządowi *votum* zaufania. Przedstawiciele takiego *votum* nie dali, ale 278 głosami przeciwko 132 uchwalili porządek dzienny Capellego, przyjmujący oświadczenia rządu do wiadomości — przestroga.

We Francyi przybyło kilkanaście nowych nazwisk, obmazanych błotem panamskiem. Po świętach sprawiedliwość nabierze rozpędu. W Izbie d. 10 b. m. Hugues odsłonił kradzieże, spełnione w formie przyjętych datków przez byłego ministra Rouviera i byłego ministra Roche'a. Obaj ci panowie uszczknęli 60,000 fr. Rouvier miał odwagę nie wyjść z Izby i tłómaczył się tak mizernie, iż nawet dzisiejsze zgromadzenie francuskie po wysłuchaniu go nic mu więcej dać nie mogło nad pogardliwe milczenie. Prawodawcy odroczyli się do 18 maja.

Admirał Hallman nie wróci już do marynarki niemieckiej; komisya sejmu skazała go na to dobrowolne ustąpienie.

Cesarz austryacki wraz z arcyksięciem Ottonem, domniemanym następcą, p. Gołuchowskim i licznym orszakiem, wyjeżdża już 25 b. m. do Petersburga. Początkowo mówiono o terminie majowym podróży.

P. Badeni przygotował dla Morawii takie samo rozporządzenie, jakie d. 6 b. m. wydał dla Czech — o dopuszczeniu języka czeskiego do wszystkich urzędów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA DZIECI CHORYCH.

Jednostki, działające pod znakiem miłosierdzia publicznego, a nawet cząstka społeczeństwa oświeconego, żywo się interesują dolą dziatwy wydziedziczonej przez warunki społeczne. Kolonie letnie cieszą się ogólną sympatyą; obecnie zaś zwrócono uwagę na dzieci pozbawione opieki; wreszcie mamy już przytułek dla drobiazgu, pozostawianego w domu przez rodziców, spędzających cały dzień przy robocie w warsztatach, fabrykach lub na mieście. Matka Dobroczynność rozpościera swoje dłonie opiekuńcze i ciężko wzdycha, dużo projektuje, a przy tym nawale projektów, często niewykonalnych lub jałowych, pochłaniających niepotrzebnie czas i pieniądze, zapomniała ona o jednej, niezmiernie ważnej instytucyi w Warszawie: skromnie zwanym „szpitaliku“ dla dzieci przy ul. Aleksandrya. Ma on niewielu protektorów pieniężnych, a w tej niewielkiej garstce ostatnie miejsce zajmuje arystokracya nasza, której przecież ulubioną dziedziną miłosierdzia są niekiedy dzieci ubogich warstw ludności.

Chcąc skutecznie zażegnywać niedolę, trzeba ją szczerze odczuwać. Nasi filantropi „urodzeni“ znają niedolę ludzką tylko z opisów i z tego, co w oko wpadu na ulicy. Zanadto przytem są zamknięci w świecie odrębnym, nie niemającym wspólnego z różnorodnemi potrzebami życia społecznego, ażeby mogli zrozumieć i ocenić najcięższe niedomagania ogółu.

Przejrzyjmy tylko dzieje naszych zapisów, z tych sfer pochodzących, rozpatrzmy się w warunkach legatów, a przyjdziemy do przekonania, że w znacznej większości nie ogarniają one spraw najpilniejszych: że albo obdarzają instytucye już zasobne o zbyt szczupłym i mało pożytecznym zakresie działalności, albo, ustanowione gwoli miłości własnej, są pewnego rodzaju pomnikiem dla testatorów.

Oto dlaczego i szpitalik dziecięcy nie cieszy się szerokiem poparciem. Oprócz kilku jednostek zamożnych, które złożyły stosunkowo dość znaczne, lecz niewystarczające zapomogi, popierają tę instytucyę drobnemi ofiarami ludzie niezamożni, którzy bliżej się zetknęli z nędzą i wzięli ją do serca. Czem jest choroba dzieci w suterenach, na poddaszach i w ciasnych domkach drewnianych, których Warszawa sporo jeszcze posiada, zrozumie tylko ten, kto ją widział zblizka. Widzieć i odczuć ją mogą lekarze i to ci, którzy, jak mówi dr. Biegański, mają współczucie dla chorych i posiadają dusze najgorętsze. Od tej pożytecznej i ważnej cząstki spo-

---

2)

MARYA TURZYMA.

TO NIE BYŁA MIŁOŚĆ.

Kartka z życia kobiety.

Patrzył na mnie wzrokiem coraz bardziej płonącym. Pochylił się ku mnie tak, że na twarzy poczułam jego przyspieszony, gorący oddech. Czekałam odpowiedzi, patrząc mu w oczy, uniesiona zapałem, podniecona nawałem uczuć i myśli, które obejmowały mnie płomieniem.

— Jaka ty śliczna jesteś! — zawołał nagle, przysuwając się do mnie z takim gestem, jakby chciał objąć mnie ramieniem. Jak usta twoje cudownie płoną! Jakie przepiękne oczy masz w tej chwili...

Zerwałam się jak szalona. Chciałam coś powiedzieć, ale żal i oburzenie dławiły mnie w gardle. Po chwilowej walce wybuchnęłam gwałtownym płaczem.

On opanował się w jednej chwili. Przeszedł kilka razy po pokoju, wreszcie stanął nade mną. Chcąc stłumić łkania, ukryłam twarz w poduszki kanapy, na którą rzuciłam się, nie mogąc pokonać spazmatycznego wybuchu.

— Proszę pani — rzekł poważnie — pani jest doprawdy chora. Trzeba koniecznie jechać do morza, aby uspokoić te nerwy rozstrojone do najwyższego stopnia, inaczej oboje możemy źle skończyć. Ja teraz odchodzę, bo pani musi uspokoić się...

Czekał chwilę na odpowiedź, ale ja nie poruszałam się. Jakiś bunt wewnętrzny osuszył w jednej chwili moje łzy, nie podnosiłam jednak głowy. Nie chciałam go widzieć.

— Żegnam panią—rzekł zniżonym głosem. Czy nie poda mi pani ręki?

Podałam mu końce palców. Złożył na nich bardzo lekki pocałunek, który przejął mnie odrazą. Wtedy po raz pierwszy poczułam tę przepaść, która nas dzieli, tę mgłę, która nam zrozumieć się wzajemnie nie pozwala. Od owej chwili rozbrat między nami wzrasta z każdym dniem. On patrzy na mnie, jak na osobę niepoczytalną, której przez delikatność tylko nie oddaje się do domu waryatów. Ja po za mężczyzną, któremu podoba się twarz moja, nie mogę już dojrzeć w nim człowieka.

Nie zniosę tego dłużej. Nie zniosę! Muszę wyjechać gdzieś — daleko! Byle raz skończyć tę mękę! Byle raz wyzwolić się z pod jego wpływu!..

* * *

Miał słuszność. Byłam rzeczywiście chora i potrzebowałam kuracyi. Nie pojechałam do morza, jak mi radził, ale w góry, w te cudowne góry, na których szczytach otwarta szeroko boska księga praw przedwiecznych, nieśmiertelnych. Zatopiłam się w niej duszą całą, a ona roztoczyła przede mną jasne zdroje prawd przeczystych, niespożytych.

Codzień wyżej wspinałam się na ostre wierzchołki i coraz pewniej, coraz głębiej duch mój wnikał w duszę świata.

Ile tajemnic ja tam odgadłam na tych szczytach, ile zagadnień zrozumiałam, tonąc w tym przestworze nieskończoności, w tym oceanie piękna. Dziś czuję się tak zdrową, tak silną, tak świadomą celów życia, że każda cząstka mojej istoty głośnom alleluja wielbi swoje zmartwychwstanie.

A on, ten wielki pan uczony? Czy to przed nim dusza moja tarzała się w prochu i żebrała o okruchy prawdy? Tak, on miał słuszność. Byłam chora, ale nie wtedy, kiedy rwałam się do wiedzy, do czynu;

łeczeństwa naszego należałoby także oczekiwać inicyatywy w sprawie większego rozwoju i poparcia przytułku dla dzieci chorych, który zaspokaja obecnie nieznaczną drobinę wielkiej i pilnej potrzeby.

Choroby dzieci w ciasnych i dusznych mieszkaniach, to klęska ogółu, to zwyrodnienie fizyczne rzesz wielotysięcznych. Ci, co wychodzą w dziecinstwie z ciężkich i uporczywych chorób, nabytych w opłakanych warunkach, nigdy już nie mogą się cieszyć pełnią rozwoju organizmu. Nosząc w sobie charłactwo, obdarzają niem następnie swoje potomstwo. Społeczeństwo więc traci na tem dużo moralnie i materyalnie. Prócz tego straty są olbrzymie ze znacznej śmiertelności dziatwy ubogiej. Nie mamy w tej mierze statystyki dokładnej, o czem już mówiliśmy w jednym z poprzednich artykułów; ale dane ogólne, skrzętnie zbierane na zachodzie Europy, wykazały już nieraz, że nędza sprzyja rozwojowi śmiertelności, szczególnie śród dzieci. J. Kőrösi w pracy swojej „Die Sterblichkeit in der Stadt Budapest,“ zestawia śmiertelność według stopnia zamożności w Budapeszcie. Widzimy tam, że na 100 wypadków śmierci dziatwy ludzi bogatych przypada: zmarłych na skrofuły i chorobę angielską średnio zamożnych 369 i ubogich 452. Trzecia kategorya zatem daje ofiar śmierci 4½ razy więcej, niż pierwsza, i to tam, gdzie organizacya zdrowotna jest lepsza, niż u nas.

W Warszawie, według obliczeń p. B. Danielewicza, w okresie 1888—1892 umierało rocznie: na odrę 158, szkarlatynę 339, dyfteryt i krup 467, koklusz 82, krupowe zapalenie płuc 113, ospę naturalną 422, zanik dziecięcy 41.

Widzimy tedy, że choroby epidemiczne pochłaniają znaczny procent dziatwy. Najprzyjaźniejszym zaś gruntem do ich rozwoju jest nędza i ciasnota mieszkań. Tak np. koklusz, choroba przeważnie uleczalna przy dobrem odżywianiu, przewietrzaniu mieszkań i starannem oddzielaniu chorych od zdrowych, porywa jednak w Warszawie 82 ofiary rocznie, a nie wiadomo, ile pozostawia po sobie cierpień chronicznych dróg oddechowych, ilu setkom dziatwy daje podścielisko przyjazne dla rozwoju gruźlicy, tudzież dla wycieńczenia organizmu już po przejściu choroby w postaci ciężkiej. Gruźlica u dziatwy ubogiej, bardzo powszechna, nieleczona w zakładach specyalnych, przechodzi na innych i zaraża całe rodziny.

Jak widzimy, potrzeby ratunku są wielkie; istniejący zaś na 600,000 mieszkańców jedyny szczupły zakład specyalny, stanowi kroplę w morzu tych potrzeb. Miejsce tam zdobywa zaledwie garstka wybranych, i to tylko dzięki przeważnie drobnym ofiarom miłosierdzia publicznego.

Nasza dobroczynność zorganizowana, rozporządzająca dość znacznymi funduszami, powinna odłożyć sprawy mniej pilne, poczynić oszczędności w tych rubrykach, które wyraźnej korzyści społeczeństwu nie przynoszą, a natomiast wziąć szczerze do serca sprawę szpitala dla dzieci. Wymaga on nietylko poparcia materyalnego w obecnych swych warunkach, ale także rozszerzenia.

W listopadowym zeszycie *Zdrowia* z r. 1895 dr. Seweryn Sterling i architekt Adolf Zeligson, podali szczegółowy projekt szpitala dla dzieci w Łodzi. Warto byłoby plan ten wziąć pod uwagę, jeżeli z czasem będziemy mogli pomyśleć o nowym zakładzie w Warszawie. O obecnym myślą przeważnie kobiety, jako najżywiej odczuwający cierpienia i niedolę dziecięcą. Pewna matka przeznaczyła niedawno fundusz na kupno potrzebnych narzędzi chirurgicznych. Ofiary trochę się ożywiły po odezwie do miłosierdzia publicznego, wywołanej zupełnem niemal wykreśleniem z pamięci ogółu tej instytucyi. Dotychczas, jak powiada Prus, ma ona naprawdę tylko dwa skarby, które nigdy jej nie zawodziły: pełne poświęcenia siostry miłosierdzia i bardzo szlachetnych lekarzy.

LISTY PETERSBURSKIE.

11 kwietnia.

Ludność zbrodnicza. — Kobiety i mężczyźni w statystyce kryminalistyki. — Dzieci jako hamulec i zarazem czynnik zbrodniczości. — Wpływ oświaty na przestępstwa. — Podział według stanowiska społeczno-ekonomicznego. — Filantropia. — Domy robocze. — Artele żebraków. — Kolonie rolne. — Ruch przesiedleńczy.

Scharakteryzowała niedawno *Prawda* słabiznę materyału statystycznego. na którym są zazwyczaj budowane ważne wnioski i dzieła naukowe. Ta niepewność podstaw może istnieć nawet w tych wypadkach, gdy są cyfry systematyczne, jak np. dotyczące przestępstw ludności. Tutaj jednak wywody mogą być logiczniejsze, niż w innych razach; bo chociaż dane statystyczne obejmują tylko przestępców ujawnionych i skazanych, pomijają zaś ogrom niewykrytych, stanowią przecież materyał stały, który pozwala mniej więcej wiernie charakteryzować stan moralny społeczeństwa.

Statystyka kryminalna, prowadzona przez ministeryum sprawiedliwości, daje właśnie taki materyał do charakterystyki przybliżonej. Ze źródła tego dowiadujemy się, że z wyjątkiem Królestwa Polskiego, Finlandyi i Kaukazu, Rosya w ostatnim roku sprawozdawczym miała 110,792 przestępców. Jeden więc przypadł na 731 ludności, co stanowi stosunek dość znaczny. Łagodzą go wszakże kategorye winy: do 1-ej grupy należą ci, którzy popełnili ciężkie przestępstwa i karani byli kryminalnie; do 2-ej ci, którzy popełnili mniej ciężkie przestępstwa i skazani zostali na „kary poprawcze,“ połączone z pozbawieniem lub ograniczeniem praw stanu. Wreszcie do trzeciej zaliczono tych, którzy popełnili przestępstwa lżejsze i byli skazani na „kary poprawcze“ bez ograniczenia praw. Według tego podziału, na 100 skazanych za wszelkie przestępstwa przypada w 1-ej grupie 3.1, w drugiej 9.1, w trzeciej 87.8. Tym sposobem w ogólnej liczbie przestępców kategorya pierwsza daje procent najmniejszy.

Kobieta w świetle statystyki, jako zbrodniarka, wychodzi wogóle dość korzystnie w stosunku do mężczyzny. Tak np. na 10,000 mężczyzn przypada 24 przestępców, na takąż liczbę kobiet zaledwie 3 przestępczynie. Pod względem charakteru

---

tylko wtenczas, kiedy pod wpływem jego spojrzenia wiłam się jak robak zdeptany.

Był dzisiaj. Czekał widocznie tylko mego przybycia i „wyzdrowienia.“ Przywitał się ze mną tak gorąco, tak serdecznie, że w pierwszej chwili i ja uległam wrażeniu. Jak dawniej, jak bardzo już dawno pozwoliłam mu zatrzymać ręce w swoich dłoniach.

Trwało to jednak krótką chwilę. Wzrok jego ogarnął mnie od stóp do głowy i błysnął tym dziwnym, fosforycznym blaskiem, który tak magnetyzował mnie niegdyś. Dziś także oblał mnie, jak dawniej, gorący rumieniec, ale jakże innem było uczucie, które go wywołało! Cofnęłam się spokojnie i siadłam, wskazując mu miejsce naprzeciw siebie.

— Jak pani świetnie wygląda — zaczął mówić z niezwykłem u niego ożywieniem. Tak się pani rozrosła, zmężniała.

Pochylił się nagle i pocałował koniec mojego warkocza, który nosiłam zwykle w domu rozpuszczony, bo ciężył mi na głowie.

Z niechętnym gestem przerzuciłam warkocz na drugą stronę.

— Nie wolno? — zapytał tonem trochę ironicznym i rzucił na mnie wzrokiem zwycięzkim, pewnym siebie, pod którym dawniej drętwiałam, jak ptaszyna mdlejąca z przerażenia.

Nagle zaczęłam się śmiać. Nie mogłam oprzeć się temu. Śmiech wesoły, tryumfujący napływał mi całą falą na usta. Jakto, ten pan, który się ma za posiadacza wszechwiedzy, a przez lata całe nie dojrzał we mnie nic, prócz świeżych ust, długich warkoczy, no i rozstrojonych nerwów, ten pan myśli, że mi zaimponuje teraz swoją mądrością!

Kiedy ja mu duszę moją, uświadomioną duszę człowieka kładłam przed oczy jako otwartą księgę, on nie chciał jej czytać. Widział tylko moje płonące oczy i usta, a nie raczył zapytać nawet myśli swojej, co rzuciło te blaski w moje źrenice i tę purpurę krwi do moich ust. A teraz myśli, że spłonę w ogniu jego spojrzenia, jak motyl w płomieniu świecy. To zabawne!

Ukryłam twarz w dłoniach i śmiałam się długo. Kiedy podniosłam oczy, bardzo jeszcze roześmiane i trochę załzawione, on stał wyprostowany, z olimpijską zmarszczką na czole, z piorunami w oczach.

— Czy mogę spytać — rzekł stłumionym trochę głosem — co jest powodem tak nagłej wesołości pani?

Widocznem było, że z trudnością pokonywał wzburzenie. Wydawał mi się tak zabawnym w swoim obrażonym majestacie, że wzruszywszy tylko ramionami, zaczęłam śmiać się na nowo.

— Jeżeli to obecność moja wprawia panią w tak nienaturalny stan — rzekł z naciskiem, a w głosie jego mimowoli odzywała się brutalność rozgniewanego mężczyzny — to zdaje mi się, że najlepiej będzie, gdy odejdę... Aby nie powrócić więcej — dodał przez zęby, które ścięły się ze zgrzytem.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu, pomimo że czułam całą jego niestosowność. Podałam mu rękę — sama nie wiem, na zgodę, czy na pożegnanie. Dotknął ją zaledwie i wypadł z pokoju.

Kiedy zostałam sama, przestałam się śmiać. Drzwi przedpokoju zatrzasnęły się z przeciągłym odgłosem. Co to było? Odszedł, aby nie powrócić więcej. I cóż? Ach, jak to dobrze! Jaka się czuję szczęśliwa i swobodna! Nie kocham go! Nie kocham! To nie była miłość!

Towarzyszką i współpracownicą mężczyzny być mogę i pragnę. Hurysą tylko być... nie chcę.

zbrodniczość kobiet jest także słabszą. Na 1,000 skazanych za wszelkie przestępstwa osób każdej płci z osobna, przypada 1-ej kategoryi: mężczyzn 33, kobiet 19; drugiej: mężczyzn 96, kobie 49. Wogóle liczba przestępców płci żeńskiej jest 15 razy mniejsza, niż męskiej. Stosunek podobny ujawniono już niejednokrotnie w różnych państwach i na podstawie tych danych przyznawano kobietom wyższą moralność. Następnie jednak, również na podstawie danych statystycznych, pogląd ten upadł. Budowanie wniosków wyłącznie na jednostronnych wykazach statystycznych musi wytworzyć ciasne i fałszywe poglądy. W korespondencyi niema atoli miejsca na szerokie traktowanie tej sprawy, zbyt zresztą wyzyskanej różnymi czasy. Po wyłączeniu przestępstw specyalnie kobiecych, jak dzieciobójstwo i spędzanie płodu (w tej drugiej kategoryi spółudział mężczyzn jest także znany), zasługują na uwagę inne, popełniane przez kobiety. Otrucie jest zbrodnią najczęściej uprawianą przez nie, tak dalece, że nawet zbrodniczość niewieścia w tej mierze przewyższa męską.

W kwestyi wpływu życia rodzinnego na zbrodniczość, dane na zachodzie Europy dowodzą, że największa liczba przestępstw przypada na kobiety niezamężne i mężczyzn nieżonatych. Na podstawie tych danych powstało mniemanie, że małżeństwo jest skutecznym hamulcem dla przestępstwa. Statystyka ministeryum sprawiedliwości w Rosyi nie zgadza się z danemi Zachodu. Tak np. na 100 skazanych płci obojej za wszystkie wogóle przestępstwa, przypada: mężczyzn i kobiet wolnych 38,4, pozostających w związkach małżeńskich 55,8, wdów i wdowców 4,8, rozwiedzionych 1,0. Z tego widzimy, że ludzie połączeni związkiem małżeńskim są skłonniejsi do przestępstw. To zjawisko odmienne, wysnute ze statystyki, wynika stąd, że rodzina w Rosyi jest oparta na innych warunkach, niż na zachodzie Europy. Przedewszystkiem śluby tutaj są w większości wypadków zawierane wcześniej, niż za granicą, a więc stosunek procentowy osób tej kategoryi musi być większy. Następnie śród ludności włościańskiej śluby są przeważnie zawierane w celach wyłącznie ekonomicznych; chłop żonę traktuje i ocenia jako robotnicę. Jest to czynnik ujemnie wpływający na stan moralny. Statystycy-humaniści starają się jednak o ile można bronić stan małżeński, a przedewszystkiem wysunąć w nim na plan drugi to, co jest czynnikiem zbrodniczości. Ratują się tutaj cyframi: Na 100 skazanych płci obojej za przestępstwa wszelkiego rodzaju z osób, pozostających w związkach małżeńskich, było: bezdzietnych 67, posiadających jedno dziecko — 6, dwoje lub więcej — 27. Stąd wniosek, że dzieci w rodzinie są tym potężnym czynnikiem moralnym, który chroni ludzi przed wybuchem instynktów zbrodniczych; ale o tyle tylko, o ile warunki materyalne nie popychają do kroku rozpaczliwego. Owo warunki zaczynają się po za granicą jednego dziecka. Gdy jest ich więcej, położenie materyalne staje się uciążliwszem, a więc i moralność schodzi na śliskie drogi.

Co do wpływu ukształcenia na zbrodniczość, sprawa ta dotychczas jeszcze nie jest dostatecznie wyjaśniona. Jedni widzą w oświecie źródło odrodzenia moralnego, inni — czynik, potęgujący skłonności do zbrodni. Zdaje się, że jest to miecz obosieczny, ale tylko w obecnym ustroju. Kiedyś oświata będzie czynnikiem bezwarunkowo zbawczym, gdy się zmienią warunki bytu społeczeństw. Obecnie wogóle dane statystyczne przemawiają na korzyść oświaty (wykluczamy tu przestępstwa innych kategoryj, nie branych w rachubę, jak np. podkopywanie ustroju tudzież porządku państwowego i społecznego). Tak np. w roku sprawozdawczym na 100 skazanych przypadło z wyższem ukształceniem 0,1, średniem — 0,3, niższem — 0,7, elementarnem — 28,0, na niepiśmiennych — 70,9. Tym sposobem w tablicach kryminalistyki ciemni zajmują najpokaźniejsze miejsce.

Szczególnie jaskrawo zaznacza się wpływ oświaty na stan moralny kobiet; np. na 100 skazanych, każdej płci oddzielnie, za wszelkie przestępstwa, było: z wyższem ukształceniem: mężczyzn 0,1, kobiet 0; średniem — mężczyzn 0,3, kobiet 0; niższem — pierwszych 0,8, drugich 0; elementarnem — mężczyzn 30,7, kobiet 9,1; analfabetów: pierwszych 68,1, drugich 90,8. Szeregi kobiet skazanych za różnorodne przestępstwa prawie całkowicie zapełniają niepiśmienne.

Tak więc statystyka wskazuje, że oświata jest ważnym środkiem walki z przestępstwem. Charakterystyczne są dane, dotyczące przestępców z wyższem ukształceniem. Ludzi tej kategoryi było tylko 96; z tych największy procent, bo aż $^2/_3$ dostarczyły przestępstwa służbowe, następnie idą: ubliżenie i nieposzanowanie władzy, dalej — 6 zabójstw, 2 pojedynki, dwie kradzieże i wreszcie jednego ukarano za... żebraninę. Co do przyczyn, wywołujących t. zw. nieposzanowanie władzy, statystyka nic nie mówi. Życie atoli wykazało niejednokrotnie, że przestępstwa takie najczęściej zdarzają się wtedy, gdy ową władzę dzierżą ludzie mniej ukształceni i gorzej wychowani, niż ich podwładni.

W podziale według stanowiska społeczno-ekonomicznego widzimy, że najskłonniejsi do przestępstw są ludzie pozostawieni bez zajęcia, lub też posiadający nieokreślone, dorywcze, pracujący ciężko fizycznie z płacą podzienną itd. Pokaźne miejsce w rubryce przestępstw zajmuje także handel. Najmniej zaś przestępców dają ludzie zajęci pracą na roli, tudzież uprawiający „profesye wyzwolone."

Statystyka zatem stwierdza znane zjawiska, że ciemnota i nieprzyjazne warunki bytu są głównymi czynnikami przestępstwa.

Do walki z nimi występuje pomarszczona, wątła staruszka Filantropia. Przykrywa swoim łachmanem rany społeczne i wierzy naiwnie, że je leczy. Rany jednak pod tym płaszczem zbutwiałym jątrzą się i szerzą. Niedawno np. na zjeździe sifilidologów w Petersburgu stwierdzono, że domy noclegowe są wielkiem źródłem... syfilisu. Zaproponowano tedy ścisłą kontrolę lekarską kandydatek na noclegi.

„Opieka nad domami roboczymi," istniejąca dopiero cztery lata, rozwija ciągle swą działalność. Otworzyła już ona 23 domy zarobkowe, wkrótce zaś otworzy jeszcze 43.

W roku przeszłym gospodarz m. Petersburga zwrócił się do komitetu Opieki z projektem zwalczania ubóstwa. Przy tej sposobności stwierdził on, że przeważną część nędzy stanowi ludność wiejska, która korzystając ze zniżonej taryfy kolejowej, masowo zaczęła napływać do stolicy celem wyszukania sobie zarobków korzystnych. Nie znalazłszy wszakże zajęcia, oddaje się żebraninie zawodowej. Dziś już całe gminy poszły na tę drogę. „Włościanie w dzień wałęsają się po mieście, w nocy zaś znajdują przytułek pod skrzydłami zepsucia wielkomiejskiego, ażeby potem zapoznać z nią wieś. Szczególną dążność w tej mierze ujawnili chłopi pochodzący z pow. Siebieskiego, gub. Witebskiej, którzy dla wychodźców swego powiatu stworzyli w stolicy ognisko na podstawach... artelowych. Zajmują się oni żebraniną, część „dochodów" zostawiają dla siebie, część zaś składają do ogólnej kasy artelowej,"

Taki znamienny obrazek maluje gospodarz m. Petersburga. Ludzie ci, złapani na żebraninie zawodowej, otrzymują odzież i są wysyłani na miejsce urodzenia; lecz stamtąd niezwłocznie wracają znowu do Petersburga. Taka wędrówka tam i napowrót trwa bez końca. W Szliselburgu, Lubaniu, Bronnicach i innych miejscowościach powstały kantory, skupujące rzeczy skarbowe, udzielane ubogim, wywożonym na miejsce urodzenia. Tych, którzy się urodzili w pobliżu stolicy, wysyłano już po *sto* razy! Włościan, trudniących się żebraniną w Petersburgu, naliczono od 9 lutego do 20 kwietnia w roku przeszłym 3,048!

Jako środek skuteczny, filantropi proponują wciągnięcie tej ludności napływowej do domów roboczych. Kto zna jednak te instytucye, ich charakter czysto miejski i urządzenia kazarmowe, ten zrozumie wstręt ludu wiejskiego do owych przytułków. Woli on urządzać artele żebracze.

Racyonalniejsze, chociaż równie niezbawcze, mogą być kolonie rolnicze. Mówiono o nich przed kilku laty w Towarzystwie wolno-ekonomicznem i dziś zapomniano zupełnie o tej organizacyi, która na zachodzie Europy dość znacznie się rozwinęła. W Niemczech pierwszą taką kolonię założono 1882 r., w ciągu dwu lat następnych powstało już ich 10, a w r. 1895 cyfra doszła do 26. Zadaniem ich jest dopomagać robotnikom wiejskim do zdobycia z czasem kawałka ziemi, a więc i stanowiska samodzielnego. Środek ten, w szeregu innych, może pewien pożytek przynieść. Jako jedyna organizacya, zapobiegająca napływowi ludności wiejskiej do miast wielkich, może być pracą jałową, zmarnowaną.

Ludność włościańska, nie poprzestając na miastach wielkich, ujawnia w ostatnich czasach coraz silniejszy ruch emigracyjny do Syberyi, ku czemu w znacznej mierze przyczyniają się naganiacze. Z tego powodu wielu włościan, nawet zamożnych, wpadło w zupełną nędzę. Między innemi ucierpiały na tem gubernie litewskie. Ministeryum komunikacyj, chcąc uregulować przepływ przesiedleńców, przedsięwzięło w roku przeszłym szereg środków odpowiednich. Między innemi na głównym szlaku ustanowiono etapy, gdzie emigranci są chwilowo zatrzymywani. Ruch na kolejach postanowiono regulować zależnie od siły przewozowej drogi Syberyjskiej. W tym celu urządzono miejsca etapowe: w Czelabińsku, Ufie, Samarze, Penzie, Riażsku, Tule i Griazi. Oprócz powyższych stacyj głównych stworzono jeszcze jedną w Syzraniu na 2,000 ludzi. W ciągu r. 1896 koleje żelazne przewiozły 190,000 przesiedleńców. Najwięcej jednorazowo zatrzymano ich: w Tule (2,000), Samarze (4,650), Penzie (1,942) Ufie (7,700), Syzraniu (1,231). Wreszcie w Czelabińsku skupiło się aż 14,000. Ruch przesiedleńczy, który się zaczął w kwietniu, doszedł do największych rozmiarów w maju i czerwcu. Ponieważ największy procent ludności wyemigrował z gubernij małoruskich, więc głównym szlakiem były koleje: Moskiewsko-Woronesko-Kijowska, Charkowsko-Mikołajowska, Kozłowsko-Woronesko-Rostowska, Penzeńsko-Uralska, Syzrańsko-Wiazemska, Samarsko-Złatoustowska i Syberyjska. Wobec wzrastającego ruchu przesiedleńców, postanowiono podnieść sprawność przewozową kolei w sposób następujący: urządzić 1,500—2,000 wagonów towarowych dla przewożenia ludzi. W tej liczbie dla kolei Syberyjskiej zachodniej 500 i środkowej 300.

Paweł Krzyżanowski.

EDWARD SIWIŃSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Zeszła z tego świata dusza zacna i czysta, przestało bić serce szlachetne, które kołatało dla swego społeczeństwa i cierpiało za nie. Przed laty trzydziestu kilku Siwiński był człowiekiem bardzo popularnym i cieszył się szczerą sympatyą młodzieży ówczesnej. Urodzony 10 lutego 1831 r. w Warszawie, tu się kształcił w gimnazyum i otrzymał patent w Suwałkach. Po kilkoletniej pracy nad literaturą i językiem ojczystym, poświęcił się pedagogii. Najpierw objął posadę w szkole powiatowej na Lesznie, poczem zalecony przez Korzeniowskiego jako siła wybitna, otrzymał katedrę literatury na kursach przygotowawczych Szkoły Głównej. Tu ujawnił całe zamiłowanie do zawodu i zdolności pedagogiczne. Zachęcał słuchaczów do opracowywania literackiego tematów zadanych i z tych najlepsze odczytywał następnie głośno z katedry. Było to skutecznym bodźcem dla wielu. Niestety, wykłady jego trwały tylko rok jeden; poczem wyruszył za granicę i przez pewien czas redagował z Kraszewskim pismo literackie tygodniowe. Osiadłszy stale w Paryżu, otworzył kursy literackie wieczorne, które cieszyły się wielkiem powodzeniem. Spędził 20 lat nad Sekwaną i tam dotknęło go straszne kalectwo: utrata wzroku. To nieszczęście nie pchnęło go jednak w bezdenną rozpacz. Zachował pogodę i równowagę moralną do ostatnich chwil życia.

Kiedym zobaczył po raz pierwszy tę sympatyczną, szlachetną twarz w towarzystwie, nie mogłem dość długo dopatrzyć kalectwa. Mówiąc do kogoś, zwracał w odpowiednią stronę jasne i czyste oczy, nawet nie pozbawione wyrazu, lecz tylko jakby łagodną mgłą melancholii pokryte. Ślepota nie zaciemniła umysłu — pozwoliła mu skupić się wewnętrznie, a dla osłody dała możność snuć nić wspomnień bogatych, pięknych i bolesnych zarazem, patrzeć oczyma ducha na dawnych ludzi i dawne ich losy, związane z bytem społeczeństwa. Tak zapatrzony w przeszłość, odtworzoną żywo w pamięci zawsze świeżej, czasem w chwili wypoczynku letniego przy akompaniamencie fal morskich wylewał w piosnce swój żal łagodny, jakby mimowolny zewnętrzny oddźwięk tych wspomnień:

Szum sobie morze, szum
U stóp nadbrzeżnych skał.
Zapomnieć smutnych dum
Nie mogę, choćbym chciał.

Podobno urywki swego życia, związane z życiem ogółu, miał przekazać społeczeństwu oświeconemu. Szkoda, że tego nie zdążył uczynić.

Siwiński do ostatnich chwil był czynnym na niwie literackiej. Działalność zaś na niej rozpoczął jednocześnie z pracą pedagogiczną. Pisywał rozbiory krytyczne, z tych na szczególną uwagę zasługuje ocena „Nędzników“ Wiktora Hugo. Pisał również wiersze liryczne. Drukował wspomnienia o Chopinie, Mickiewiczu, Towiańskim, Retelu, Norwidzie, tudzież stanął w obronie pamięci Korzeniowskiego, szarpniętej przez Klaczkę z powodu „Krewnych“ i „Tadeusza Bezimiennego.“ R. 1892 ogłosił drukiem dyalog dramatyczny p. t. „Konsultacya.“ Wiele jego prac zasługuje na osobne wydanie, między innemi wykłady o literaturze polskiej z epoki Stanisławowskiej i poromantycznej.

Dla charakterystyki tej sylwetki dodać winniśmy, że Siwiński pomimo ślepoty był ni pospolitym szachistą. Niejednokrotnie mieliśmy sposobność podziwiać jego szermierkę na tem polu. Wreszcie jako mówca, posiadał wielkie zalety, które mogła stwierdzić publiczność w sali odczytowej. Pamięć dobrą i żal szczery po sobie zostawił.

P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rozmyślania Wielkanocne.

Najwyższy ideał ludzkości był, jest i prawdopodobnie będzie trójcą—połączeniem prawdy, piękna i dobra. Filozofowie, którzy najściślej rozbierali i składali to światło, rozjaśniające drogę naszego życia, znajdowali w niem zawsze te trzy promienie i nie mogli ani żadnego ująć, ani nowego dodać. Ktokolwiek w księdze dziejów zapisał trwale swe imię, ktokolwiek był przedmiotem hołdów swego czasu a pamięci potomnych, ktokolwiek wkopał się jak słup drogowskazowy dla wędrówek człowieczych, był kapłanem jednego z owych trzech bóstw, które od wieków stoją na ołtarzach świata. I powszechna cześć również, jaką od kilkunastu stuleci odbiera Chrystus, płynie z tego samego źródła. Jest on bowiem dotąd najwspanialszem wcieleniem dobra.

Pragnień i potrzeb ludzkości nie wyczerpują ani interesy, ani cele dnia bieżącego; musi ona odżywiać się pewnemi zasadami i wzruszeniami, które nie są bezpośrednio związane z chwilą i stanowią trwały zdrój pokrzepień duchowych. Dwie uroczyście w całym świecie chrześciańskim obchodzone pamiątki — rocznica urodzeń i śmierci Jezusa — mają nietylko podstawę religijną, ale także głęboko psychologiczną. Nietylko umysł prosty, któremu tak nakazuje religia, święci Boże Narodzenie i Wielkanoc, ale najukształceńszy zwraca się wtedy do owej anielskiej postaci, która jest niewątpliwie najwymowniejszym przykładem moralności w czynach.

Tydzień ubiegły odtwarza chrześcianom we wspomnieniach tragedyę męki i zmartwychwstania Mistrza z Nazaretu. Nie należy lekceważyć symbolów, z których przeświecają wielkie idee. A w obchodach tego tygodnia tkwią one bardzo wyraźnie. Pierwszą z nich jest niezłomność przekonań i okupienie ich śmiercią. Opowieść o życiu i zgonie Chrystusa nie zawiera dowodów, ażeby kiedykolwiek sprzeniewierzył się wyznawanym zasadom, ażeby splamił usta kłamstwem lub wykrętem dla zwiększenia bezpieczeństwa, ażeby próbował uniknąć odpowiedzialności i strasznej kary. Nie zapierał się przed nikim głoszonej nauki i zawisł na krzyżu z tym łagodnym, ale nieugiętym spokojem, który dotychczas budzi szczególny podziw. Chrystus był jeden, ale wielu było ludzi, którzy znaleźli się w niezgodzie ze światem, którzy pragnęli do jego zgnilizny wprowadzić zdrowie, a do jego ciemności światło i którzy złożyli ofiarę z życia za swą naukę. Czy możemy przeczyć, że dla tych bohaterów zwłaszcza w dziejach nowej ery był zachętą i przykładem Chrystus? A jeżeli istotnie wywarł taki wpływ, to ileż wywołał najszlachetniejszych poświęceń! Krytycy za główny tytuł nieśmiertelności takich utworów wyobraźni, jak Hamlet lub Faust, poczytują to, że w nich odzwierciedla się cała cierpiąca dusza ludzka. Daleko potężniej i czyściej odbija się ona w Chrystusie. Każdy człowiek, który chciał obsiać zachwaszczoną lub ugorującą niwę życia ziarnami dobra i zginął przy tej pracy, miał swój Wielki Tydzień, tylko żaden nie miał równie wspaniałego i żaden nie doczekał się Wielkiej Nocy. Ale jak najskromniejszy kaganek jest cząsteczką słońca, tak najmniejsi męczennicy za ideę są duchowemi dziećmi Chrystusa. Nie posiadając ani czułych probierzów, ani delikatnych wag do szczegółowej oceny dusz ludzkich, widzimy w nich tylko to, co się objawia wyraźnie i mocno, a nie dostrzegamy drobinek pierwiastków dobra i słabych drgnień uczuć szlachetnych. Gdybyśmy wszakże zdobyli takie subtelne wagi i probierze, przekonalibyśmy się niezawodnie, że jest daleko więcej, niż nam się wydaje, serc i umysłów, które w olbrzymiej postaci Chrystusa odnajdują swoje własne, maleńkie pragnienia, cele, a wreszcie gorycze i zawody. Dlatego nie Faust, nie Hamlet, ale Chrystus stanowi najpełniejszy wyraz i najdoskonalsze uosobienie tego, co w dziejach ludzkich jest najlepszem: dlatego Męczennik z Golgoty zyskał najwięcej czcicieli.

Nie ma żadnej nadziei i prawdopodobieństwa, ażeby w przyszłości, do której myślą sięgnąć możemy, Wielki Tydzień stał się tylko wspomnieniem historycznem, pamiątką sławnej cnoty i sławnej zbrodni, niemającą w życiu bieżącem żadnego oddźwięku. Tragedya Chrystusa nie powtórzy się, ale tragedya jego synów, ludzi cierpiących i ginących za dobrą wolę, za miłość bliźniego, za pragnienia szczęścia ogólnego powtórzy się jeszcze nieraz. A dopóki to nie ustanie, dopóty Wielki Tydzień będzie uroczystością świętą nietylko dla dusz wierzących, ale także dla wszystkich cierpiących. Budda, Konfucyusz, Mojżesz, Mahomet pociągają ku sobie jedynie tych, których przekonywają lub olśniewają dogmaty ich nauki, Chrystus jest Mistrzem nawet dla tych, którzy w jego boskość nie wierzą i jego przykazań nie wyznają. Pragnąć bowiem dobra i umrzeć mężnie za ukochaną ideę może zarówno buddysta, mahometanin, mozaista, jak chrześcianin. Nie wyobrazimy sobie człowieka z duszą ogrzaną szlachetnym ogniem, któryby uprzytomniwszy sobie podczas Wielkiego Tygodnia lub usłyszawszy po raz pierwszy historyę życia i śmierci Chrystusa, któryby patrząc na tę czcigodną postać ukrzyżowaną w cierniowej koronie, nie doznał wzruszenia i nie powiedział: „w ogromie Twojej męki jest odrobina mojej; bądź pochwalony na wieki wieków.“

Mówiono i pisano wiele o naśladowaniu Chrystusa, chociaż nikogo nie naśladowano mniej. Tymczasem ten obowiązek, a przynajmniej potrzeba nie słabnie bynajmniej w miarę oddalania się ludzkości od momentu, od którego liczy swe daty nasza cywilizacya. Przeciwnie z każdym niemal dniem wyraźniej widzimy i czujemy konieczność zapatrywania się na ten niedościgniony wzór. A niech się nikt nie wymawia brakiem sił i uzdolnień do bohaterstwa. Tu nie chodzi bowiem o nową naukę, o nieustraszoną odwagę i o zgon męczeński za ideę, co będzie zawsze przywilejem nielicznych jednostek. Ale chodzi o wyzucie się z samolubstwa, o szczerość przekonań, o miłość bliźnich, o przebaczanie im błędów, o przelewanie swej wiary w czyny i niewyrzekanie się jej przed żadną groźbą. Na to nie potrzeba być geniuszem cnoty, wystarczy uszanowanie w sobie i innych ludzkiej godności. Dziś ci, którzy nawołują do naśladowania Chrystusa, nie wskazują bynajmniej w zalecanym przykładzie tego, co w nim jest największem i najświętszem, mianowicie wszechmiłość i wszechprzebaczenie, nieznające wyjątków i strachu. Przyjdzie wszakże czas, że ten kochający, przebaczający i umierający za swą naukę Chrystus zmartwychwstanie.

I tę właśnie ideę symbolizuje Wielkanoc. Duch Chrystusa rzeczywiście zmartwychwstaje ciągle i objawia się w tych wszystkich umysłach, które usiłują sprowadzić „królestwo boże na ziemię,“ uczą „kochać bliźniego, jak siebie samego“ i zamienić ludzkość na „jedną owczarnię,„ w umysłach, które pragną zbawić świat powszechnem dobrem i cierpią lub umierają za tę ideę. Jak gdy z posiewu przed XIX wiekami odradzają się ciągle tacy reformatorzy i męczennicy. Zmieniają się tylko ich teorye, drogi i cele, sposoby działania, słowem treść dramatów życia i ich postacie, ale ich forma i ostateczne rozwiązania pozostają te same. Zawsze są to istoty wysoce szlachetne, bezinteresowne, bolejące nad krzywdami, starające się wywalczyć dla wszystkich sprawiedliwość, zapalające nową pochodnię wiedzy i wiary, zawsze budzą nienawiść w stróżach ciemnoty i sprawcach gwałtu, drażnią dzikie instynkty motłochu i padają ich ofiarą. Tak było po wszystkie czasy, tak będzie w przyszłości.

Człowiek, który nie posiada w duszy swojej najsłabszego odblasku geniuszu Arystotelesa, Sofoklesa, Cezara, Dantego, Kopernika, Kolumba, może pomimo to być dobrym bratem w rodzinie ludzkiej; ale człowiek, który nie nosi w sobie bodaj najdrobniejszej cząsteczki Chrystusa, żyje po za nią i nie dla niej. A chociażby był największym, jest bardziej samotnym w świecie, niż błądzący w przestrzeni meteor.

Poseł Prawdy

BADANIA NAUKOWE.

KOSMOS I SPOŁECZEŃSTWO

(z powodu Z. Heryngа: „Logika ekonomii“).

III.

Teorya wartości.

Gospodarstwo narodowe, oparte na produkcyi towarów, zagmatwało rzeczy najprostsze i utrudniło rozbiór stosunków życia ekonomicznego. Z pośród kategoryj zasadniczych, które los taki spotkał, najbardziej może ucierpiała wartość. „Pytanie co do rzeczywistej przyczyny wartości—powiada Z. Heryng — pozostaje do dziś dnia przedmiotem subtelnych dociekań i namiętnych sporów, których jądro tkwi w tem, czy miarą wartości ma być większa lub mniejsza użyteczność danego wytworu, czy też większa lub mniejsza ilość pracy, zużytej przy jego wytwarzaniu lub, z naszego stanowiska, większa lub mniejsza ilość wywiązującej się przy jego wytwarzaniu energii biologicznej.“ Autor *Logiki ekonomii* ma słuszność, kładąc nacisk na tę walkę poglądów, jaka toczy się co do istoty wartości. „Namiętne spory świadczą właśnie o tem, jak gospodarstwo towarowe wypacza i zaciemnia rzeczy jasne jak słońce.

Z. Heryng przychyla się do poglądu, „niewyrażającego jednak całkowitej prawdy, głębiej jednak, aniżeli wszystkie inne, ujmującego istotę wartości,“ a mianowicie, że „wkładana przez producentów w wytwory ogólno ludzka praca jest wspólnym dla wszystkich produktów czynnikiem.“ Atoli dalsze wywody — niezależnie od użycia terminów energii — przedstawiają taki charakter, iż niewątpliwie niektórzy z pośród ekonomistów, broniących powyżej streszczonego poglądu, niewiele znaleźliby wspólnego pomiędzy swoją teoryą a twierdzeniami Z. Heryngа. Winniśmy zatrzymać się nad niektóremi z nich.

1) „Konsumenci w olbrzymiej większości wypadków nabywają bez targu potrzebne im przedmioty po cenach przez producentów ustanowionych, a *opartych* na ilości włożonej w te przedmioty ogólno-ludzkiej pracy“ (str. 190). „Producent, określając cenę swego przedmiotu, niewątpliwie zajmuje się przybliżonem *oznaczeniem* nakładu energii kinetycznej“ (str. 255).

2) „Dopiero po przeprowadzeniu mozolnych i długich poszukiwań indukcyjnych, związek wartości z nakładem energii zostanie ściślej określony, a tem samem i teorya wartości, na związku tym oparta, otrzyma naówczas należyte uzasadnienie“ (str. 198).

Stanowisko Z. Heryngа przypomina poniekąd poglądy Rodbertusa. Ekonomista niemiecki był przekonany, że nakład pracy rozstrzyga w chwili dzisiejszej o cenie towarów, nawet tak dalece brał za rzeczywistość to twierdzenie, że namawiał niejakiego Petersa do przedsięwzięcia odpowiednich poszukiwań „indukcyjnych“ — z zakresu techniki produkcyjnej. Studya takie powinny były ściślej uzasadnić tezę, tj. wykazać „związek wartości z nakładem pracy“ dla pojedynczych (przeciętnych) towarów. Rodbertus w życie ekonomiczne społeczeństwa towarowego wetknął kategoryę mu obcą i mimo wysiłków nie zdołał wyzwolić się z pęt gospodarstwa wymiennego. Z. Heryng znajduje się w tem samem położeniu, z tą tylko różnicą, iż ulegając skłonności godzenia stanowisk odmiennych, uwikłał się jeszcze bardziej i nieraz obok jednego poglądu wyznaje drugi, sprzeczny, przedewszystkiem zaś złożył jeszcze większy haracz ustrojowi indywidualistycznemu, wprowadzając nieistniejącą w takiem znaczeniu nawet u Rodbertusa postać konsumenta.

„Konsument przy akcie kupna-sprzedaży nic nie wie i nic nie chce wiedzieć o nakładzie pracy, tkwiącym w danym przedmiocie... lecz interesuje się tylko użytkiem, który z tego przedmiotu mieć może; producent zaś przeciwnie, nie interesuje się ani trochę tem, co konsument z jego wyrobu uczyni, lecz stara się tylko o to, aby w osiągniętej cenie zwrócił się mu nakład włożonej pracy z pewnym jeszcze zyskiem.“

Tym twierdzeniom przeciwstawimy swoje, tj. względnie swoje, bo do oryginalności nie rościmy żadnej pretensyi i poprzestajemy na przyswojeniu sobie tych poglądów, które uważamy za istotny i trwały wkład do nauki. Zaznaczymy więc zgóry, że producent-kapitalista, ustanawiając ceny, bynajmniej *nie* opiera się na ilości włożonej w te przedmioty pracy ogólno-ludzkiej; że nawet po najmożliwszych poszukiwaniach ekonomiści nie uzasadniają w sposób indukcyjny twierdzenia, iż ceny towarów w epoce dzisiejszej są oparte na ilości pracy (społecznej); że mierzenie wartości przez pracę w jednem miejscu, w drugiem zaś przez „pracę z pewnym jeszcze zyskiem,“ są to rzeczy tak różne, jak dziewica i panna z dzieckiem; że wreszcie, o ile chodzi o analizę podstaw wartości, konsument jest najniepotrzebniejszą postacią — jest on już zagmatwaniem kwestyi ze stanowiska widnokręgów indywidualistycznych. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, musimy oświadczyć, że koła producentów dzisiejszych nie mają i mieć nie mogą nawet przybliżonego pojęcia o tem, ażeby wartość można było mierzyć nakładem pracy ogólno-ludzkiej. Miara taka, to abstrakcya nie z tego świata, tj. nie ze świata produkcyi towarowej, z chwilą, w której ta ostatnia porzuciła rzemieślniczy tryb wytwarzania.

A więc po co ta abstrakcya w nauce, tak dalece obca życiu, że nawet przedsiębiorcy nie mają o niej najmniejszej świadomości? I wogóle, czem jest ta wartość oderwana, mierzona przez nakład pracy ogólno-ludzkiej, w stosunku do zasad dzisiejszego życia ekonomicznego, każących przedsiębiorcy cenę produktu określać jako sumę pieniężną, powracającą koszty produkcyi i dającą nadto jeszcze pewien zysk?

Jakeśmy zaznaczyli, gospodarka towarowa gmatwa rzeczy najprostsze. Trzymając się zwykłej indukcyi, nie wybrnęlibyśmy tam z zamętu powikłanych stosunków i nie odcyfrowali tajemnic ustroju. Indukcya udzieliłaby nam odpowiedzi tylko w duchu przedstawicieli obecnej fazy ekonomicznej. Ekonomiści, pragnący głębiej rzecz zbadać a niemający przecież na swoje rozkazy — jak wyrzekł jeden z najwybitniejszych badaczy w tej dziedzinie wiedzy — mikroskopu, ani odczynników chemicznych, muszą uciec się do abstrakcyi. Wartość abstrakcyjna zaś, mierzona przez pracę, winna im odkryć nie tyle prawa sprzedaży-kupna, ile użyczyć klucza do poznania praw podziału wytworu społecznego pomiędzy grupy społeczne.

Jak więc powstała ta wartość oderwana? Jest ona kategoryą, właściwą wszystkim ustrojom, opartym na podziale pracy.

Rozpadnięcie się gospodarstwa narodowego na oddzielne przedsiębiorstwa zaciemniło kategoryę produktu ogólno-społecznego, w dalszym ciągu zaś zupełnie zagmatwało wzajemną zależność członków społeczeństwa i przeciwstawiło ich sobie jako producentów i konsumentów. Zadruga południowo-słowiańska odznacza się większą wyrazistością stosunków, które tam występują tak jasno, jak na dłoni. Pojedynczy zadrużanin oddaje wytwór swojej pracy do śpichlerza rodzinnego, wzamian biorąc stamtąd rezultat pracy kogoś innego. Stosunki są tak proste i zrozumiałe, iż ani chwili nie opuszcza go świadomość, iż dał on gromadzie swój wysiłek i wzamian skorzystał z cudzego. Zresztą produkt w zadrudze nie posiada jeszcze „wartości,“ bo życiem jego ustroju rządzą zasady spólnicze: każdy pracuje według sił, spożywa według potrzeb. Kategorya ta uwydatniłaby się z całą mocą dopiero wtedy, gdyby zadruga rozrosła się w społeczeństwo, liczące miliony obywateli, śpichlerze zaś rodzinne zamieniły się na społeczne. Trzeba byłoby tam jakoś oceniać każdy wysiłek: wytwórca wzamian za swoją pracę otrzymywałby przekaz, uprawniający go do wzięcia odpowiedniej wartości, tj. odpowiedniego równoznacznika, z produktu narodowego. Członkowie takiego społeczeństwa wymienialiby nawzajem tylko swoje wysiłki i „wartość“ produktu byłaby tam etykietą, głoszącą, ile tkwi pracy w danym przedmiocie.

Wartość byłaby tam niczem innem, jeno oceną w systemie społecznego podziału pracy wysiłków indywidualnych, oraz świadectwem, że wysiłki te muszą wejść nawzajem w stosunek zamiany swoich wyników. Powiedzenie, że wartość mierzy się pracą, byłoby tam taką samą tożsamością, jak sąd: „masło jest maślane.“ Rozbicie gospodarstwa narodowego na warstwy, powierzone odrębnym przedsiębiorcom, zamaskowało tę tautologię: wymiana wysiłków i prac istnieje, ale świadomość o tem zniknęła. Członkowie społeczeństwa, wymieniając towary, tj. wyniki pracy, nie zdają sobie sprawy z tego, iż w gruncie rzeczy wymieniają tylko wysiłek mięśni swoich, tak iż ktoś nawet, zamiast stosunku wytwórcy do wytwórcy, gotów analizę wartości oprzeć na stosunku wytwórcy do konsumenta! Zjawienie się tej ostatniej postaci w rozbiorze źródeł wartości świadczy, iż analitycy wymianę rozpatrują z punktu widnokręgów

gospodarstwa indywidualnego i puścili w niepamięć tę prawdę, iż sprzedaż-kupno jest przedewszystkiem wymianą wysiłków. Ich odwoływanie się do pomocy indukcyi jest zgoła zrozumiałe, bo gdyby pamiętali, że pod wymianą towarów ukrywa się wymiana prac, nie usiłowaliby udowadniać, że $A=A$, lecz zadaliby sobie pytanie, dlaczego i o ile tautologia ta w gospodarstwie towarowem uległa zaciemnieniu.

W ustrojach, produkujących towary, tj. przedmioty, które do rąk innych mogą dostać się tylko drogą kupna-sprzedaży, wartość staje się wartością zamienną i jednocześnie zostaje zagmatwana.

Zagmatwanie to jest już więcej lub mniej napięte, stosownie do tego, jaką fazę ustroju towarowego rozpatrujemy. Dopóki panowała produkcya rzemieślnicza, tj. póki ktoś sprzedawał na rynku produkt własnej pracy, wyrobiony przy pomocy prostych i tanich narzędzi, dopóty twierdzenie Z. Herynga, iż „producenci ustanawiają cenę, opartą na ilości włożonej w te przedmioty pracy ogólno-społecznej“ (czyli energii), odpowiadało rzeczywistości. Praca społeczna była, przynajmniej mogła tam być miernikiem wartości, ponieważ wytwórcy nie utracili poczucia swego stosunku wzajemnego i uświadamiali sobie, że wymiana towarów jest w gruncie rzeczy wymianą prac różnych, zakrzepłych w odmiennych użytecznościach. Prostota narzędzi umożliwiła im ocenę włożonego wysiłku.

Ale z nastaniem kapitalizmu to wszystko zanika.

Zasadą tam jest, iż „wytwórcy“ wymieniają rezultaty cudzej, najemnej pracy. Konsument oddziela się na stałe od wytwórcy, istotny wytwórca od właściciela towaru. Ktoś najmuje siłę roboczą i każe jej wytwarzać przedmioty za pośrednictwem złożonej, a kosztownej maszyneryi, przyczem celem jego są „zyski.“ Narzędzia pracy, materyały surowe i płace uiszczone figurują w jego księgach jako jednorodne rubryki — wydatku pieniędzy. Na ich podstawie oblicza on koszta pojedynczego okazu, które bierze za punkt wyjścia przy sprzedaży produktu. W akcie sprzedaży niema tam ani źdźbła poczucia, iż wartość powinna mierzyć się i mierzy pracą.

Nastręcza się jednak pytanie, czy owa przeciętna cena towaru, tj. cena, zwracająca koszta wyłożone z pewnym jeszcze przeciętnym zyskiem, nie jest tylko innem wyrażeniem dla wartości, mierzonej przez nakład pracy. Może pierwsza jest symbolem subjektywizmu przedsiębiorcy, druga zaś — przedmiotowem podłożem, wykrytem przez analizę i mogącem doczekać się uzasadnienia przez indukcyę?

Nie! Światem kapitalistycznym rządzi tendencya wyrównywania odsetek od użytych kapitałów. Nie znaczy to, ażeby równość taka istniała, bo nawet istnieć ona niekiedy nie może wobec trudności technicznych wycofania funduszu wyłożonego, ale tylko, że mamy do czynienia z dążnością w tym kierunku. Nie miejsce tutaj rozwodzić się, jak ta zasada uniemożliwia mierzenie ceny przez pracę i stwarza rozbrat pomiędzy tą ceną, a wartością oderwaną. Powiemy tylko, że dla dawania jednakich odsetek od tego samego kapitału, rolnictwo systematycznie musi sprzedawać poniżej normy wartości oderwanej, pewne gałęzie przemysłu przetwórczego — powyżej. Nadchodzą jeszcze inne wpływy: działanie renty ziemskiej, przynajmniej w pewnych okresach rozwoju, znosi nawet teoretyczne normowanie ceny przez przeciętne społecznie koszta produkcyi i czyni ją zależną od kosztów, wymaganych przez rolnictwo w najgorszych warunkach, tj. na najgorszej glebie. O drugorzędnych czynnikach, takich jak podaż i zapotrzebowanie, istnienie pieniędzy itd., nie wspominamy, ponieważ wpływy ich, lubo stałe, są jednak natury przypadkowej. Właśnie konsument jest wcieleniem w postać ludzką jednego z tych podrzędnych czynników.

Poddawszy rozbiorowi wszystkie te oddziaływania, ujrzymy, że „wartość“ jest kategoryą nie z tego świata, tylko abstrakcyą, i że cena nie zależy od nakładu pracy. Dla nas jądro kwestyi polega nie na udowodnianiu drogą indukcyi, że cena mierzy się przez pracę, ale na poznaniu, dlaczego, pomimo iż analiza nam dowiodła, że pod wymianą towarów ukrywa się wymiana wysiłków, ta kategorya odchyla się systematycznie i nieprzypadkowo (tj. niezależnie od podaży i popytu) od wartości abstrakcyjnej. I nawet badając i te odchylenia, nie zależy nam tak bardzo na wyznaczeniu ceny — zagadnienie może ciekawe, ale naszem zdaniem podrzędne. Dopóki bowiem będziemy pytanie to uważali za zasadnicze, dopóty nie wydobędziemy się z widnokręgów „producenta“ i konsumenta, tj. z widnokręgów gospodarstwa indywidualistycznego. Nas obchodzi w danym razie coś zgoła innego. Pomimo że cena pojedynczych przedmiotów odchyla się stale od wartości abstrakcyjnej, to jednak zlewa się z nią dla produktu ogólno społecznego: $A=A$, tj. wartość tego produktu odpowiada nakładowi pracy. Pewna część z niego odchodzi na surowy materyał, narzędzia pracy i płacę roboczą, druga, nosząca specyalną nazwę wartości dodatkowej, idzie do podziału pomiędzy świat przedsiębiorców. Prawa tego podziału są właśnie prawami odchylania się cen towarów od wartości oderwanej, mierzonej przez pracę.

Wartość jest dla nas ważna nie jako zasada wymiany i klucz do zrozumienia ceny, ale jako środek do odcyfrowania praw podziału produktu społecznego. Nie chodzi nam o wykazanie drogą poszukiwań indukcyjnych, o ile istnieje związek pomiędzy wartością a pracą, bo wiemy, że go nie znajdziemy w takiej formie, ale dlaczego cena i wartość muszą dzisiaj rozmijać się i czemu praca przestała być zastosowywaną miarą. Praca, jako czynnik wartościotwórczy, uwydatniła dzisiaj swoje wpływy nie w cenie towarów, ale w stopie przeciętnej procentów. Analiza jednak tego punktu jest dla nas obecnie obojętna.

L. Krzywicki.

HISTORYA.

Szkice historyczne Darowskiego.

(Petersburg, 1893—97).

III.

Balcerowi vel Pawłowi Chmielewskiemu, jednemu z takich zesłanych do Wierchoturia, szlachcicowi ziemi Łukowskiej, poświęcił p. Darowski osobną rozprawkę (III, 87—118), najpiękniejszą z całego zbioru, przypominającą nieco wiekopomne wzory Szajnochy. Nie wyrastał Chmielewski ponad tłum, nie wyróżniał się niczem z szarej masy awanturnictwa, o którem autor w ogólności wyraża się ostro, niekiedy za twardo: Palić, ścinać, hańbić, szerzyć postrach, zgrozę, być nielitościwym zbójem, ciąć w pień, co się dało, tak wyglądała wyprawa Samozwańca — i pierwszego i drugiego, tak wyglądali i Lissowczycy... Tym, co idą raz za Dymitrem, potem służą w wojsku Zygmunta III, potem znowu w moskiewskich rotach, wszystko jedno za jaką sprawę się biją; będą się bili jak umieją, szarpiąc, napadając znienacka, rozbijając małe oddziały, nadstawią może nawet karku w większej bitwie, byleby mieli ciągle za czem się uganiać, byleby żyli nietylko z żołdu, ale i z rabunku, łatwemi zdobyczami na bezbronnych. O życie nie dbają, po za siebie nie patrzą, sumienie mają nieczyste, obciążone grzechami przeszłości, które ich pchnęły na krwawą drogę wojenki podjazdowej, pełnej przygód, urozmaicenia i nadziei najjaskrawszych... Jednakże zwyczajni ci zbrodniarze wśród swoich — stają się wcale niezwyczajnemi osobistościami gdzieś tam na trzecim i czwartym „ukrainnym“ pasie, po za Ukrainą własną, domową, zdobytą już raz i wyzyskaną. Wmieszani w tłum chłopstwa z nad Oki lub Donu, zdala od miast, wśród kozactwa, odgrywają tu i często odgrywać muszą rolę istot wyższych, jako w samej rzeczy cywilizacyjnie wyżsi i tem samem powołani do wyjątkowego, wyborowego stanowiska... W tem znaczeniu jest i Chmielewski wyższością pewną wobec przybranego jego otoczenia, jakkolwiek postać to typowa, wcale niesympatyczna, sztuka harda, zakamieniała, trochę łotra, trochę ogładzonego szlachcica z małego miasteczka, człowiek w gruncie może i niezły, gdyby nie ta jego chropawa i kolczata łuska żołnierska z czasów, kiedy żołnierka była rzemiosłem nawskroś dzikiem i łupieżkiem. Bezpośredni następcy Spytków z Mielsztyna na Podolu naddniestrzańskiem i na stepach białocerkiewskich — Kalinowscy, Koniecpolscy — nie byli prawdopodobnie innymi w początkach. Zabierał się też i Chmielewski do „kolonizacyi“ na wielką skalę — tam, w dali, na ziemiach wołogodzkich — aż oto naraz przyplątał się szatan, przebrany w gorsecik i spódniczkę (jak przypuszczać wolno) — podlaskiego, łukowskiego kroju.

W dokumentach „badawczych“ pozostał właśnie ślad dyabelskiej tej „zdrady“ — list Chmielewskiego pisany z Moskwy, już po ustatkowaniu się pod berłem założyciela nowej dynastyi, do niejakiej Zofki, czy też Izotki, która — jak utrzymywał delikwent przed „pytką“ — uciekła mu nie wiedzieć po co, więc posyłał po ni ludzi, aby ją napowrót ściągnęli... Niestety, posyłać trzeba było aż do Smoleńska, a Smoleńsk należał już wtedy do Zygmunta III... Powtarzamy ciekawy ów okaz literatury epistolarno-idylicznej, gdyż rzeczywiście nie trudno w nim — na upartego — dopatrzeć się niejakich wątpliwości i podejrzliwych znaków zapytania. „Moja droga, serdeczna *siostro*... Krwawą wierność pisaniem swojem ci objawiam. Życzę ci zdrowia, co Bóg naznaczył, czego sobie od Boga życzysz. Co? moja droga serdeczna Zosieńko, zabłąkałaś się na *jatki mięsne*, a ja dla ciebie wszystko cierpię. A tego nie wiem, czy to — dla drogiego przyjaciela? Nie wiem, serce moje, co cię tam przywiodło, więcej czart zabrał, niżeliś straciła. Abyś mi tylko zdrowa była, ty i *głowa moja*. Posyłam do ciebie mój list, aby się dowiedzieć o tobie. Proszę, proszę, abym dla ciebie był ojcem i matką, a tyś mi według przyrzeczenia nie odpisała, serce moje. Żyw będę, a będę ci przyjacielem i do nóżek twoich upadnę, a jeśli dopuścisz, do nóg *matusieńki swojej, abyśmy razem byli*. Nie zapomnę, Zosienko, słów twoich i nie tracę nadziei, a oczekuję od ciebie wszystkiego dobre, Zosieńko serce moje...“

Czy istotnie były jakieś większe poszlaki, że Chmielewski zamierzał przemknąć się przez pogranicze do Polaków, do Łukowa może? Kwestya to naturalnie podrzędnej wagi, zupełnie nawet błaha; ale ponieważ do jej rozwiązania przylgnął życiorys osobnika, co bez marnego szkopułu kilku zagadkowych wyrazów listu byłby zapewne wyrosł na znakomitość, zapisałby się może w heraldyce największych potęg rodowych, z tego powodu warto rzucić okiem na kilka okoliczności charakteryzujących przebieg wypadków,

których pan Paweł-Balcer był świadkiem i uczestnikiem.

Wtargnął nasz Podlasiak w r. 1605 do dzierżaw chwiejącego się na tronie Godunowa wraz z innymi oddziałami pierwszego Dymitra; był rotmistrzem garstki Litwinów, którzy się niebawem połączyli z większą partyą Bołotnikowa, ale zachowali w niej swoją autonomię, gdyż pod Kołomną widzimy Chmielewskiego występującego samodzielnie. Kiedy Samozwaniec tryumfalnie wkroczył do Moskwy, ordynek podlasko-litewski rozłożył się pod murami stolicy i wkrótce się rozprzęgł, luźnemi kupkami poszedł na żerowisko po kraju *podbitym*. Czy sam rotmistrz pozostał w Moskwie; czy był obecnym na akcie uroczystego w obecności kilkakroć stutysięcznego tłumu dokonywającego się uznania Dymitra przez *rodzoną* matkę, carową Martę; czy się przyglądał wyrazowi twarzy przyszłego z kolei władzcy, Wasila Szujskiego, który po trzykroć, czy po czterykroć na krzyż Pański przysięgał w jednej i tej samej sprawie: 1) po powrocie z Uhlicza w r. 1591, że dziesięcioletni Dymitr sam się zakłuł nożem w przystępie epilepsyi; 2) po wstąpieniu na tron Godunowa, przed jego nieprzyjaciółmi, w konspiracyi bojarskiej, że carewicza zamordować kazał uzurpator; 3) obecnie, kiedy Dymitr zmartwychwstał, że młodocianego syna Groźnego, ostatniego z Rurykowiczów, istotnie ocaliła niańka do współki z mamką i z jakimś lekarzem Niemcem; 4) w parę miesięcy później, na tajemnych konszachtach z bojarami, że świeżo ukoronowany Dymitr jest tylko przebranym lokajczukiem książąt Ostrogskich i Wiśniowieckich?.. Dalej, czy podlaski nasz wojak brał udział w przepysznej wystawie skarbów kremlowskich podczas wjazdu Maryny Mniszchówny, panów koronnych i litewskich, przedstawicieli mocarstw zagranicznych, posłów Zygmunta III — i czy wpływał w sposób jakikolwiek na uświetnienie dziewięciomiesięcznego panowania samozwańca, o którym zarówno cudzoziemcy, jak powiernicy najbliżsi (Basmanów) utrzymywali, że choćby nie był ze krwi „autentycznej,“ godzien jest berła? Z odpowiedzi na szereg powyższych pytań nie ulega wątpliwości to jedno tylko, że z okropnej łaźni, jaką Szujski i bojarowie sprawili w nocy z 16 na 17 maja 1606 r. bliższemu i dalszemu otoczeniu Dymitra, Chmielewski wyskoczył cało, bez szwanku. Że zaś na ukazanie się drugiego samozwańca nie trzeba było czekać zbyt długo, przeto wojskowa karyera Balcera nie doznała prawie żadnej przerwy.

Jednakże u tuszyńskiego „złodzieja“ pan rotmistrz nie zagrzał pieca. Wraz z chorągwiami Jana Sapiehy połączył się z wojskiem Zygmunta III nadciągającym pod Smoleńsk, służył ze swą rotą pod hetmanem Żółkiewskim i w r. 1610 ujrzał się na Kremlu obok Gąsiewskiego, Zborowskiego, Rudzkiego (czy też Ruckiego). Po odjeździe z Moskwy Żółkiewskiego, gdy Gąsiewski objął komendę nad załogą strzedz powołaną, pod okiem Dumy bojarskiej, praw następcy wywiezionego Szujskiego — królewicza Władysława, nieubłagany, żelazny rygor nowego wodza wywołał wśród jego podwładnych częściowe niepokoje i nawet zaburzenia, których rzecznikiem, obok Zborowskiego, stanął Chmielewski. Skarcony na razie, nie zaprzestał pan rotmistrz knowań w obliczu pomrukujących już dokoła gromów powstańczych. Tymczasem Zygmunt III, po zdobyciu Smoleńska, odszedł z wojskiem do Polski i wkrótce niewielki tylko korpusik Chodkiewicza pilnował pod Moskwą łączności załogi polskiej na Kremlu z krajem. W daremnem oglądaniu się na odsiecz z Litwy zbiegały tygodnie, miesiące i głód zaczął powoli doskwierać oblężonym, pomimo usiłowań Chodkiewicza nad zdobyciem lu . owdzie garstki owsa dla koni, ćwiartki żyta dla ludzi. Wojsko sarkało, zwłaszcza sapieżyńcy i chmielewszczycy, dopominając się o zapłatę; zatargi z mieszkańcami kitajgorodzkich i biełogorodzkich dzielnic stolicy mnożyły się z dniem każdym. Nie pozostawało nic innego do czynienia, jak zredukować załogę, pozbywając się dopóki czas, dopóki odwrót jeszcze nie zagrodzony ostatecznie, tych chorągwi zaciężnych, które się stawały raczej zawadą i niebezpieczeństwem, niżli pomocą — zwłaszcza po odejściu Gąsiewskiego do Smoleńska (na wiosnę 1612 r.) i objęciu dowództwa w Kremlu przez niedawno przybyłego z litewskiemi posiłkami Mikołaja Strusia. Jakoż w sam dzień Bożego ciała 1612 r. część sapieżyńców, trochę jazdy i oddziałek Chmielewskiego (razem około 4,000) opuściły Kreml w nadziei przedarcia się na Litwę, a zabierając z sobą złote i srebne zastawy, udzielone im zamiast żołdu przez Dumę bojarską.

Losy tych gromad wychodźczych, na pół wypchniętych, na pół uciekinierskich, nie były do pozazdroszczenia. Jedno, opadnięte przez kozaków Lapunowa i pospolite ruszenie Pożarskiego, rozprysły się na drobne partyjki; drugie dotarły zaledwie w szczątkach do kraju lub pod opiekę murów Smoleńska; inne wolały przejść wprost, bez dłuższych tranzakcyj, z obozu oblężonych do obozu oblegających. Chmielowski należał do tych ostatnich, a był snadź wielce pożądanym, skoro mu Pożarski nadał wnet włość Semżę w ziemi kostromskiej (niedaleko od Wołogdy) i naznaczył sto pięćdziesiąt rubli ówczesnych pensyi, czyli „zasługi...“ I nie pozostał p. Balcer, vel Paweł, dłużnym swojemu dobrodziejowi. Kiedy pierwszych dni września 1612 hetman polny litewski, J. K. Chodkiewicz, ze swoją niewielką drużyną zrobił rozpaczliwy wysiłek w celu stworzenia drogi po przez setki tysięcy „opołczeńców“ do Kremla i opatrzenia w żywność umierającej od wycieńczenia załogi, Chmielowski rozstrzygającą tu rolę odegrał. Polacy podawali już sobie dłonie po przez rozprute pułki oblężenia i spalone przedmieścia Moskwy; wtedy nadbiegający Pożarskiemu z pomocą Minin porwał od niego sprężystą rotę pana Balcera i natarł z nią na punkt najbardziej krytyczny, najbardziej wydzierany sobie nawzajem. Chodkiewicz cofnąć się był zmuszony przed ośmielonemi tą imprezą chmurami niżegorodców i kozaków. To był wyrok śmierci na gromadkę Strusia, która już zjadła kopyta ostatniego zdechłego konia i zabierała się do smażenia w pożarach stolicy polędwic z poległych towarzyszów broni.

Od wiosny, od rozejścia się „oponentów,“ była ta gromadka raczej posterunkiem honorowym, placówką straconą, niż właściwą załogą. Na murach pozostało około 1,500 ludzi, tj. kilka kompanij sapieżyńców „wiernych,“ którym po śmierci J. P. Sapiehy (w jesieni 1611) dowodził Budziłło, oddziałek Strusia, chorągiew Niewiarowskiego, trochę pancernego rycerstwa ze Strawińskim, Charlińskim, Kalinowskim itd. Trzymało się to, po odwrocie Chodkiewicza, bez mała dwa miesiące, do 26 października (st. st.) 1612, kiedy nareszcie zabrakło soli do posypywania mięsiwa z trupów. Poddano się nie bez warunków. Wypuszczono najpierw z kremlowskiego tego cmentarzyska duchowieństwo z zastępcą patryarchy, Arseniuszem; dalej Dumę bojarską, kniaziów Mścisławskich, Worotyńskich, Romanowów (wraz z dorastającym przyszłym carem Michałem), Romadanowskich, Szeremietiewów itd.; następnie kupców, rodziny bojarskie, gości zagranicznych i t. d. Wreszcie wyszli żołnierze z dowódcami w pierwszych szeregach. Wbrew przyrzeczeniu, tłum rozszarpał jakąś cząstkę, resztę rozdano bojarom nieposzlakowanym o zmowę z Zygmuntem III i papieżnikami... Król polski spóźnił się z wojskiem zaledwie o dni kilka; fatalna wiadomość doszła go w Wiaźmie. Zresztą, nie było z czem i rwać się tak bardzo naprzód: Rzeczpospolita, w ciągu blizko lat dwóch, zdobyła się dla Zygmunta III na zasiłek o wiele mniejszy od udzielonego przez możnowładców „oszustowi z Tuszyna.“

Na widok tego okropnego marnotrawstwa ludzi, czasu, okoliczności sprzyjających, czy nas interesują jeszcze dalsze *powodzenia* Chmielewskiego?.. Nie przypuszczamy. Dodajmyż tylko do treści listu miłosnego, który watażkę zgubił, tę poszlakę obarczającą, że pewnego dnia dziedzic kostromskiej Semży, przybywszy do swoich dóbr, kazał wszystko pakować na wozy: meble, bydło, ludzi, tudzież, że na mękach splątał się mu język i pamięć odmówiła posłuszeństwa do tego stopnia, że Chmielewski nie umiał na pewno powiedzieć, jak mu na imię: Paweł, czy Balcer.

W. Rajczyc.

LITERATURA I SZTUKA.

JESZCZE O POEZYI.

Metoda indukcyjna była dotychczas tylko środkiem sprawdzania szczęśliwych pomysłów, czyli hypotez, wypowiedzianych przez intuicyę. Ta ostatnia zaś wcale nie ma potrzeby wyczekiwania postępów rozwoju społecznego, aby czynić największe swe odkrycia; i owszem, ona dzięki temu rozwojowi z czasem tylko słabnąć i wyczerpywać się może. Czyż nie jest rzeczą zadziwiającą, iż większość teoryj naukowych współczesnych była wypowiedziana na kilka tysięcy lat przed naszym wiekiem w sposób czysto intuitycyjny, w filozofii i literaturze ludów starożytnych? My teraz tylko indukcyjnie i metodycznie, drogą analizy i syntezy świadomej, wytworzonej przez późniejszy rozwój społeczny, głosimy to, co człowiek ówczesny wyraził intuicyą. Tak np. teorya Darwina, ta kwintesencya biologii nowożytnej, może być — w zarodku — odszukana w poezyi i filozofii nowożytnej (np. u Lukrecyusza), a może nawet w majaczeniach pierwotnej mitologii. Buszmenowie wierzą, iż człowiek pochodzi od żmii, Aleuci — od psa, mitologia grecka wyprowadza jego pochodzenie od mrówki itd. Wszystkie te poglądy nie są tak niedorzeczne, jakby to się powierzchownym indukcyonistom wydawać mogło. Człowiek pierwotny widział dotykalnie swój związek ze światem zwierzęcym i wyprowadzał swe pochodzenie od istot najbardziej inteligentnych. Między nim i niemi nie było jeszcze tej ściany przesądów moralno - religijnych, którą właśnie późniejszy rozwój społeczny wytworzył. Nasz wiek musiał obalić w sobie dwa tysiące lat fantazyi, aby nawiązać nić rozwoju pogańskiego.

Jeszcze w większym stopniu można to samo powiedzieć o monizmie filozoficznym, tej podstawie nowożytnej mechaniki, fizyki i chemii. Wiedza współczesna udowodniła tylko te hipotezy, bardziej uzasadniła, rozwinęła w szczegółach i zastosowaniach — dodajmy, iż te zastosowania materyalne, przedmiot zachwytu dla gapiów mają właśnie najmniejsze znaczenie intelektualne — lecz podstawowe ich myśli wypowiedziane były gdzieś

tam, w pomroce wieków. Co się tyczy psychologii i socyologii, to one, jako nauki, jeszcze prawie nie istnieją i dopiero z czasem przekonamy się o głębokości myśli genialnych zawartych w pierwotnych legendach poetycznych i mitologicznych, oraz w księgach filozofii starożytnej. Czyż wszystkie te zdobycze myśli nie naukowej, dlatego tylko, iż nie były udowodnione, przestają być prawdą? Czy psychologia naukowa nie potwierdza myśli wypowiedzianych przez Eschylosa lub Shakespeare'a? Dzięki takiemu poznaniu intuitycyjnemu człowiek pierwotny poczynił wielkie swe odkrycia. Galton sądzi, iż oswojenie zwierząt domowych odbyło się nie drogą rachuby, lecz gry. Nie było tu żadnej wyrachowanej logiki, lecz zabawa, taż sama gra intuitycyjna wyobraźni, która doprowadziła człowieka pierwotnego do wytworzenia mitologii lub do pokrywania kości rysunkami, jakich często nie powstydziłby się Leonardo da Vinci.

Mając coraz mniej intuicyi i coraz więcej logiki prawidłowej, wytworzonej przez rozwój społeczny, coraz bardziej oddalamy się od istot niezróżniczkowanych, coraz mniej czujemy, że jesteśmy w zgodzie z niemi. W ten sposób utraciliśmy pamięć węzłów, które nas niegdyś łączyły z przyrodą. Gdy spoglądam na drzewo, mówi mi ono już bardzo niewiele — w każdym razie stokroć mniej, niż człowiekowi „dzikiemu;“ ale ono żyje, między jego duszą a moją istnieje tajemnicza, głęboka odpowiedniość, pokrewieństwo, które odczuwam już tylko niewyraźnie. Tak samo coraz bardziej tracimy pamięć pokrewieństwa ze zwierzętami. Tylko wielcy poeci i artyści mniej więcej wyraźnie je nam oddają. Człowiek pierwotny był w tej rozkosznej, tajemniczej naturze istotą najdoskonalszą, związaną z istotami niższemi, z roślinami, zwierzętami milionem arteryi, był tworem wspaniałym głównie możliwością wydania istoty wyższej od siebie. Cywilizacya, rozwój społeczny coraz bardziej przecinają te arterye i coraz trudniejszem czynią wydanie typu wyższego. A teraz zatruwamy w dodatku duszę dzikich religią żalów i zgrytot i tępimy ich szczepieniem cywilizacyi. Oni znajdowali się niegdyś w tem szczęśliwem położeniu, iż mogli kontynuować rozkoszny, naturalny, pogański rozwój. A my gwałtownie zrywamy wszystkie arterye, łączące ich z przyrodą, i pędzimy ich na bezdroża, na których sami marnie błądzimy. Jakże pociesznem wydaje się nasza pretensya „zbawiania“ dzikich! Nie chcemy tu pisać sielanki *a la* Rousseau — mówimy tylko, iż nasz rozwój społeczny i jego liche fabrykaty, dusze nasze, były urzeczywistnieniem jednej z wielu możliwości bytu. Nie chcielibyśmy tylko, aby dzicy poszli po utorowanej drodze społeczeństw ucywilizowanych — niechby podążali drogą własnego ich losu.

Dotychczas jeszcze pomysły intuitycyjne wypowiadane są przez poetów, wynalazców, geniuszów. Prawdy te nie znajdą uznania, dopóki przez wiedzę prawidłową stwierdzone nie będą, ale w jakiejkolwiek dziedzinie się pojawią, należą zawsze naprzód do poezyi. Później dopiero wiedza je odziewa w rynsztunek metodologiczny: gdy pomysły te wyrażały u geniuszów tylko jakościowy stosunek rzeczy, ona stara się nadać im charakter ilościowy, formę matematyczną*), ostateczny ideał poznania. Wiedza nareszcie wyciąga z nich wszystkie zastosowania praktyczne. Ale mniej więcej: pierwszym impulsem i motorem wiedzy powstają hipotezy intuitycyjne, należące do poezyi. Otóż ludzkość posiada jeszcze kapitał takich pomysłów, rozrzuconych na całym przeciągu jej dziejów, pomysłów, koło których wiedza się krząta, aby je przyodziać w formę metodologiczną, aby je sprawdzić i wyzyskać praktycznie. Suma tych pomysłów może się nawet zwiększać wraz z pojawieniem nowych geniuszów, ale jeżeli oni zostaną wytępieni i cała suma ich pomysłów sprawdzona, to i wiedza zatrzymać się musi, jak maszyna pozbawiona pary.

Proszę zauważyć, iż bynajmniej nie zaprzeczam, żeby rozwój idei zależał od rozwoju społecznego, ale ta strona nie wyczerpuje kwestyi: drugim czynnikiem jest rozwój biologiczny, następstwo po sobie typów zwierzęcych. Każdy nowy gatunek rozszerza pojęcie świata, widzi w nim takie strony, które dla poprzedzającego nie były dostępne. Człowiek z czasów „Rigvedy“ nie rozpoznawał więcej, niż dwa kolory, biały i czarny*), człowiek Homerowski nie znał wszystkich, które dla nas są dostępne, a wolno przypuszczać, iż gatunek wyższy od człowieka rozpoznawać będzie w widmie świetlnem barwy znajdujące się powyżej fioletowej i które dla nas są niedostrzegalne. Toż samo powiedzieć można nietylko o kolorach, dźwiękach, zapachach itd., ale o własnościach wewnętrznych rzeczy, o ich stosunkach wzajemnych. Granice poznania się ściśle zakreślone przez rozwój zmysłów i mózgu.

Śród ludzkości zjawiają się właśnie od czasu do czasu osobniki o mózgach potężniejszych, doskonalej zbudowanych, którzy widzą w rzeczach strony dla innych niedostrzegalne. Statystyka pokazuje, iż mózgi ludzi genialnych są średnio znacznie większe, niż zwykłych śmiertelników. Gdy mózg średniego mężczyzny waży 49½ uncyi (kobiety—44), mózg Gaussa ważył 52,6, Campbella—53,5, Cuviera—64,5 itd. Między mózgiem Cuviera i każdego z nas jest różnica większa, niż między naszym a niektórych zwierząt. Znajdujemy się tu wobec dążności natury do wydania gatunku wyższego, niż człowiek.

Rozwój idei zależy więc od dwu czynników, od rozwoju społecznego i od rozwoju biologicznego. Są to dwa ruchy niezależne od siebie, które w swym przebiegu mogą jednak chwilowo krzyżować się — i wówczas mamy ten wypadek *rzadki*, iż geniusz jest wyrazicielem prądów w społeczeństwie dojrzałych. Powierzchowni spostrzegacze starają się go napełnić i wydać za zasadę. Jest to bardzo chwalebny błąd płytkiego optymizmu. Wielkie hipotezy intuitycyjne rozrzucone są po dziejach ludzkości bez porządku, z punktu widzenia rozwoju społecznego, gdyż prawa ich następstwa zależne są od następstwa po sobie typów antropologicznych. Tak np. wielki kapitał hipotez filozoficznych, które nam Grecya zostawiła i z których nauka żyje dotychczas, zawarunkowany był przez to, co Lange nazywa ich „myślą dedukcyjną“ i co związać się daje z ich wyższością antropologiczną. Spoglądając na przepyszne posągi Louwru i British Muzeum, które są tylko odtworzeniem ciała starożytnych Greków z epoki klasycznej, rozumiem całą ich wyższość umysłową: była to istotna rasa półbogów, wobec których my jesteśmy marnymi karłami, pęcherzykami tłuszczu. Cóż nam pomoże, iż rozwój społeczny rozstawia te pęcherzyki tłuszczu w wielkim porządku, rasy skarłowaciałe nie mogą wydawać nowych myśli: my musimy żyć z tych, które nam tamte półbogi pozostawiły. My bierzemy tylko piękne młode myśli Grecyi, które są urocze, jak ich Psyche, i odziewamy je w pedancki płaszcz, zszyty łatkami spostrzeżeń i kompilacyi, i w perukę naukową — wrzeszcząc w niebogłosy o naszym postępie. Albo też zaprzęgamy tę Psychę do jakiejś maszyny i każemy jej pracować dla dobrobytu mas. Z punktu widzenia logiki, metodologii i wygód materyalnych postęp jest niewątpliwy — ale bynajmniej nie z punktu widzenia myśli intuitycyjnej i poezyi.

Nikt chyba nie ośmieli się twierdzić, iż rozwój poezyi i filozofii jest równoległym z rozwojem społecznym. Wskazywaliśmy już niejednokrotnie na sprzeczność rażącą, jaka tu zachodzi: okresy rozkładu społecznego są zazwyczaj epokami rozkwitu poezyi. Ta ostatnia jest wytworem myśli intuitycyjnej, inne strony życia — myśli zróżniczkowanej przez rozwój społeczny. Tak np. wiedza, o ile staje się procesem myśli logicznej, rozwija się, przynajmniej w swych procesach przygotowawczych, w gromadzeniu materyałów itd. podczas okresów spokojnego rozwoju organizacyjnego. Jeżeli więc między jej rozwojem i rozwojem społecznym można zauważyć pewną równoległość, to tylko w szczegółach, w metodologii, natomiast pojawienie się wielkich hipotez naukowych jest mniej więcej odeń niezależne i istnieje, narówni z rozkwitem poezyi, w epokach rozkładowych (np. wiedza Grecyi lub Renaissance'u). Zastosowania techniczne wiedzy, oparte na podziale pracy i prowadzące do dobrobytu materyalnego masy, także najlepiej się rozwijają w epokach spokojnych. Szczęście ogółu, rozkwit dobrobytu, odbywają się w epokach zaniku jednostki wyższej, zwężenia jej duchowości, jej zespecyalizowanie. Między rozwojem społecznym i jednostkowym istnieje więc poniekąd antagonizm. Pierwszy pozostawia przy życiu jednostki gorsze antropologicznie, o zdolnościach coraz bardziej jednostronnych, jakkolwiek dobrobyt materyalny tych jednostek, ich poczucie sprawiedliwości, tj. doskonałość form społecznych coraz lepiej wyciskające się w duszach, ich inteligencya, tj. przystosowanie procesów myśli do prawidłowości zjawisk społecznych i ilość wiadomości hypnotycznie każdej wszczepianych, może wciąż się zwiększać. Rozwój społeczny rozpowszechnia na wszystkich myśl jednorodnie zróżniczkowaną logiczną, ale bierną; myśl twórcza, imaginacya, intuicya wraz z postępem antropologicznym powstrzymane zostają.

W walce z dawną teoryą idei wrodzonych krytyka dochodzi często do wniosku, iż geniusz nowych idei nie tworzy, iż musi wrzekomo brać je tylko z otoczenia społecznego. Otóż to rozumowanie wcale nas nie przekonywa. Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami teoryi idei wrodzonych, i ta teorya wcale nam nie jest potrzebną: dość przypuścić, iż można przynieść ze sobą na świat nowe instynkty, aby one dały początek nowym ideom. A to właśnie się dzieje z każdym typem biologicznym wyższym, który wystąpić może dzięki przypadkowym warunkom krzyżowania.

Co to jest myśl? Pewna reakcya między sumą stanów nieświadomych, instynktów i warunkami otoczenia. Jeżeli postawimy dwa gatunki, zbliżone biologicznie, w warunkach życiowych rozmaitych, to ich myślenie będzie różne. Człowiek cywilizowany nie rozumie dzikiego: dość wspomnieć wszystkie dziwolągi, które misyonarze wymyślili z powodu „rozpusty“ lub „niemoralności“ dzikich i t. d. Z drugiej strony weźcie kilka typów biologicznych różnych, postawcie je w jednakowych warunkach życiowych, a ich myślenie będzie znowu rozmaite. Ptak, pies i człowiek dziki, znajdując się w tych samych warunkach na łonie natury, spoglądając na ten sam przedmiot, widzieć w nim będą różne strony.

Tak zwana „krytyka naukowa“ szkoły Taine'a silnie się przyczyniła do zaćmienia tej prawdy, poszukując wciąż promieni, rozrzuconych po społeczeństwie, z których ma wrzekomo się składać geniusz

*) Jest to tylko przystosowanie myśli naszej do prawidłowości i ścisłości, z jaką zjawiska społeczne się powtarzają: zmechanizowana logika.

*) Le Bon: *L'Homme et les sociétés.*

i sprowadzając go w ten sposób tylko na stopień wyraziciela prądów już istniejących. Były to wszakże uogólnienia sztuczne i powierzchowne. Koło Shakespeare'a np. zauważono gromadkę pisarzy pokrewnego z nimi nastroju. Ogłoszono go więc tylko za kłos, trochę wyższy śród innych, które nieznacznie mieszały się z całem polem społecznem. Shakespeare tylko głośniej miał wyrażać to, co wszystkie inne kłosy naokoło niego ciszej szeptały. Jest to błąd stanowczy. Głównem swem dziełem, „Hamletem," nietylko nie odbijał ówczesnego społeczeństwa, ale był źródłem nowych stanów duchowych i prądów społecznych, które w przyszłości dopiero miały wywrzeć swe wpływy i silnie się przyczynić do wytworzenia psychologii XIX w. Zresztą dzieło to mogło się było pojawić tylko dlatego, iż otoczenie społeczne było w tej epoce rozluźnione. Były to czasy rozpadania się, rozkładu form społecznych, pod wpływem krzyżowania się prądów niezgodnych. Tylko w takiej epoce mogła się pojawić jednostka zupełnie różna od swych ziomków typem emocyonalnym, a następnie i myślami. W czasach normalnych byłaby ona zagryziona, zaduszona przez otoczenie społeczne. W istotnych geniuszach otoczenie interesuje nas nie o tyle, o ile ono zostawia ślady na ich dziele — co jest niewątpliwe — lecz o tyle, o ile ono *nie istnieje*, jest rozluźnione i tą swą słabością nie przeszkadza wyrażaniu się wewnętrznych, psychologicznych i antropologicznych sił zawartych w jednostce. Nie zresztą nie przeszkadza, aby w takiej epoce zamieszania dwa lub więcej takich nowych typów emocyonalnych — np. Shakespeare, Marlowe i in.— nie przyszły jednocześnie do głosu. Antropologicznie rzecz biorąc, Shakespeare mógł tyleż się różnić od innych Anglików swego czasu, co pierwszy człowiek, który się pojawił śród antropopopiteków, dzięki trafom krzyżowania, różnił się od swego otoczenia społecznego. I ono napewno go ogłosiło za waryata.

Dr. L. W.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Długi zaciągnęliśmy względem Towarzystwa muzycznego — przychodzi nam dzisiaj zdać sprawę z całego szeregu koncertów, na których bądź spotkaliśmy się z dawnymi znajomymi, bądź zapoznaliśmy się z nowemi siłami artystycznemi.

Do pierwszych należy panna Katarzyna Jaczynowska, młoda fortepianistka, której niepospolity talent, niejednokrotnie już na tem miejscu oceniany, mężnieje i rozwija się coraz bardziej, a im staje się samodzielniejszym, tem więcej się przekonywamy, że wirtuozka jest „urodzoną" szumanistką. Utwory wielkiego romantyka, nawet najmglistsze, szczególnej wyrazistości nabierają w wykonaniu p. Jaczynowskiej — znać, że artystka intuicyjnie odczuwa wszystkie porywy mistrza, że umie się zagłębiać w najskrytsze tajniki tej duszy o nieporównanym polocie, która się w takich nieśmiertelnych objawiła dziełach. Drugim z kolei znajomym był również fortepianista, p. Lamond, który wziął udział w koncercie urządzonym ku uczczeniu setnej rocznicy Schuberta (d. 31 z. m.) i, podobnie jak za pierwszym u nas pobytem, podbił słuchaczów grą pełną temperamentu i siły, jędrną, jasną, nacechowaną prostotą, zaletą cenną bardzo, zwłaszcza w wykonywaniu utworów nieporównanego pieśniarza. Na ostatnim wreszcie koncercie środowym (d. 7 b. m.) przypomnieli się publiczności tutejszej pp. Auber (wiolonczelista) i Kastner (harfista). Gra pierwszego nie wybiega niczem po za obręb średniej gry dobrego wirtuoza, drugi natomiast jest mistrzem w swoim rodzaju. Niełada talentu trzeba, aby doprowadzić grę na harfie, instrumencie niezbędnym w ensemble'u orkiestrowym, ale tak mało nadającym się do popisów solowych — do tak wysokiego stopnia artyzmu. Pod miękkiem dotknięciem palców p. Kastnera nie odzywają się szarpane szczypaniem struny, ale dźwięczą śpiewne tony fortepianowe; przytem bajeczna biegłość, uczucie i cieniowanie wprawiają wprost w zdumienie słuchacza. Ma też artysta tę zaletę, że nie zadawala się banalną literaturą harfową, nie popisuje się transkrypcyami z oper, lecz posiada w programie swoim utwory takie, jak „Waryacye" Beethovena, „Fantazyę" (op. 90) Saint-Saënsa, oraz udatne bardzo przeróbki „Utworów ulotnych" Schumanna i „Pieśni bez słów" Mendelssohna.

Od czasów Alicyi Barbi coraz częściej spotykamy się z „pieśniarkami," które wyrugowały już prawie zupełnie z estrady koncertowej wykonawczynie wielkich aryj operowych. I słusznie — bo wykrojone z całości najpiękniejsze nawet urywki nie mogą zadowolić artystycznych wymagań słuchacza, ani dać mu najmniejszego złudzenia bez kostiumu i dekoracyj, bez tego aparatu scenicznego, którego z charakteru swego wymagają. Dwie takie „pieśniarki" przedstawiło nam w ostatnich czasach Towarzystwo muzyczne — obie, śpiewaczki wytrawne, obdarzone głosem mezzo - sopranowym, kształcone widocznie w doskonałej szkole. Pierwszeństwo należy się pod każdym względem pannie von Nissen, która posiada i rozleglejszą skalę głosu i wyższych dosięgła już szczebli artyzmu w wykonaniu, niż pani Żerebcoff. Obie jednak posiadają jedną wspólną cechę — pieśni o nastroju dramatycznym, a nawet tragicznym, lepiej znacznie wychodzą w ich interpretacyi, niż utwory, wymagające prostoty i wdzięku w wykonaniu. Dlatego panna Nissen najdoskonalsze wywarła wrażenie odśpiewaniem wielkiej aryi z kantaty „Achilles" Brucha, oraz utworów Caldara i Franza; zaś pani Żerebcoff, która brała udział w koncercie jubileuszowym na cześć Schuberta, lepiej powiódł się „Sobowtór" i „Du bist die Ruh," niż np. „Die Forelle," do której zabrakło utalentowanej śpiewaczce lekkości i subtelnej poezyi.

Nie wiemy, czy jakiekolwiek miasto ma takie szczęście do skrzypków, jak Warszawa — mało jest już chyba znakomitych na tym instrumencie wirtuozów, którzyby do nas nie zawitali. Po Burmestrze i Thomsonie, uznanych już sławach, mieliśmy dwie młode gwiazdy, wschodzące zarówno olśniewającym, choć zupełnie odmiennym blaskiem. Gra pp. Arrigo Serato i Feliksa Berbera ma cechy takie różne, jak ich ojczyzny. Pierwszy — południowiec — porywa nieokiełznanym jeszcze temperamentem, który go często unosi na manowce, rozmarza słodyczą tonu, tak nieraz lekkiego i subtelnego, że zda się być dźwiękiem poruszanej powiewem wiatru harfy eolskiej, zdumiewa poczuciem rytmu i techniką już niepospolitą. P. Berber natomiast, to klasyk w najlepszem tego słowa znaczeniu. Ton ma jasny, przedziwnej czystości—choć niezbyt głęboki — sprawność ręki wprost bajeczną (doprawdy, już przymiotników niedługo zabraknie dla określenia techniki wirtuozów!), wysokie poczucie stylu, nadto grę jego cechuje szlachetny spokój; wszystkie te zalety znakomicie ujawniły się w wykonaniu koncertu Beethovena (*d dur*), w którym młody skrzypek wykazał całe swoje mistrzowstwo w odegraniu niesłychanie trudnej „kadencyi," układu Joachima.

Drugi koncert symfoniczny w teatrze Wielkim pod dyrekcyą p. Nikischa był nie mniejszą od pierwszego ucztą artystyczną, zwłaszcza że program obejmował „Symfonię 5-tą" (*c moll*) Beethovena, zwaną „Symfonią życia." Arcydzieła tego znamy niemal takt każdy, słyszeliśmy je wykonywane niezliczoną moc razy przez różne lepsze i gorsze orkiestry — żadna jednak nie zdołała posunąć się do takiej doskonałości wykonania, jak ta nasza własna, której widocznie tylko takiego, jak p. Nikisch kierownika trzeba, aby stanęła w szeregu pierwszorzędnych. Z rzeczy zupełnie nowych usłyszeliśmy antrakt z opery Goldmarka „Heimchen am Heerd," nie budzący zbyt wielkiej chęci do zapoznania się z całością. Jako solista wystąpił Michałowski i odegrał, po raz nie wiemy już który, „Koncert G moll" Saint-Saënsa. Utwór ten tak, zda się, już zespolił się z utalentowanym wirtuozem, iż trudno sobie wyobrazić, aby Michałowski, zasiadłszy na estradzie do fortepianu, mógł zagrać co innego.

Br. N.

POEZYE

Sully Prudhomme.

Marzenie.

Marzenie krótką trwa chwilę:
Wnet pierzcha mara świetlana,
Jak wydmuchnięta przez dziecko
Tęczowa bańka mydlana,

Co rosnąc w ręku dzieciny,
Cudnemi barwy zaświeci,
Przy każdym drżąca powiewie,
Z słomki się zrywa i... leci.

(Tak bywa z pięknem marzeniem),
Ulata gdzieś aż pod chmury —
Innego celu nie mając,
Byle się wznosić do góry.

Losem jej rządzą wszechwładnie
Lecielme wiatru podmuchy,
Woń kwiatu—unosi z ziemi,
Mgła zmienia lub zwalnia ruchy.

Raz ją widziałem, jak z chmurką
Bujała w jasnym eterze!..
Wszak z nieba przyszła, więc niebo
Swą własność znowu zabierze.

I dla powietrznej tej córy
Jest to najwyższą rozkoszą,
Gdy na swych skrzydłach wietrzyki
Ją pieszczotliwie unoszą...

Przejrzyste bańki zwierciadło
Odbija wszystko w przelocie:
I nieskończoność, i chmury
Lśniące w purpurze i złocie.

Przejmuje barwy ich świetne,
Jak brylant staje się jasną
Pod słońcem, którego blaski
W niej się zdwajają lub gasną...

Wystarczy jednak, by mucha
Musnęła skrzydłem ją złotem...
Prysnęło wszystko—bez śladu—
Ten wszechświat staje się—błotem.

Marzenie krótką trwa chwilę:
Wnet pierzcha mara świetlana,
Jak wydmuchnięta przez dziecko
Tęczowa bańka mydlana.

Droga mleczna.

Gdy gwiazdy, śląc mi światło swe,
Na niebios zeszły niwę,
„Jak smutny, rzekłem, jest wasz blask!..
Jesteście nieszczęśliwe.

Promienie wasze poprzez mrok
Z żałością dziwną lecą!..
Na niezmierzonem, czarnem tle
Żałobnie jakoś świecą!..

To blade grupy srebrnych gwiazd
Wśród niebios oceanu —
To, zda się, dziewic białych rój
Dokoła karawanu!..

Czy zamodlone cichy śpiew
Nucicie dla Jehowy?
Czy zamiast światła, wasze łzy
Spadają nam na głowy?..

I komu ślecie blaski swe?..
Spojrzenia swe najłzawsze?..“
— Wtem usłyszałem smutny głos:
„Jesteśmy same zawsze...

Przepaścią wielką każda z gwiazd
Od sióstr swych oddalona...
Wśród samotności blado lśni
I wieczność całą kona!..“

„—Więc taki smutny jest wasz los,
O światła wy żałobne!..
Do naszych ludzkich, biednych dusz
Jesteście wy podobne.

Bo każda dusza, jak i wy —
Daleka sióstr swych grona —
(Choć się wydaje pośród nich)
Wśród pustki ciemnej kona!..“

M. Z.

O PRAWDĘ.

Kobieta w rodzinie.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule p. t. „Komedyantki“ (nr. 8) p. Żywicki potrąciwszy o kwestyę życia kobiety w rodzinie, w rozbudzeniu indywidualnej strony znajduje przyczynę jej zawodów i cierpień moralnych.

Przypuszczam, że tylko indywidualność wyjątkowa, umysł niezwykłej miary, samotwórczość może być materyałem nieodpowiednim dla węzłów rodzinnych; ale w takim wypadku dlaczego się nimi krępuje? Znam siłę pragnień wielkich, rozumiem porywy i uniesienia rwącej się ku szczytom ideałów młodości, rozumiem ową głębię bytu samoistnego, goniącego za gwiazdą szczęścia, lecz tylko w dziewicy. Ale gdzie dążenia [illegible] i żądze kobiety, która przyjęła [illegible]

[illegible] wysokiego stopnia dojrzałości moralnej i umysłowej uzdolniającej do [illegible] dla celu i nieustaj[illegible]. Wobec tego zadania najwyższy nastrój myśli, [illegible] tylko przetworzeniem się indywidualizmu, wyzyskaniem energii, ale [illegible] zanikiem, [illegible] niem duszy.

Kobieta nietylko rodzić, ale i wychować powinna: łatwiej jednakże mieć zasadę, aniżeli trafnie i właściwie w codziennej potrzebie ją spożytkować. Wtedy szczególniej, kiedy idzie o pokonanie trudności, spoczywających w nałogach, charakterze i usposobieniu naszem, wtedy to nie zawsze potrafimy złamać siebie, nie zawsze nad naturą naszą otrzymujemy zwycięztwo.

Jednak w życiu człowieka przychodzi okres, w którym czyny jego powinny być lepsze od jego słów. To okres macierzyństwa i ojcowstwa. Zrozumieć tę prawdę, dosięgnąć tych szczytów osobistego rozwoju, z dziecka zrobić ideał człowieka, czyż to nie dość ważny cel nawet dla indywidualizmu wyjątkowego?

Niepodobna też wymagać od rodziny, ażeby u progu swojego bytu odrazu mogła być tem, czego zaledwie po wielowiekowem istnieniu spodziewać się od niej można. Rodzina, zarówno jak społeczność we wszystkich odłamach swojej działalności, znajduje się w okresie rozwoju. Stąd rozdźwięk w pożyciu, naturalny niedobór, obustronne demoralizujące cierpienie; bo nie może wytworzyć się idealna rodzina z nieidealnego społeczeństwa.

A tymczasem bywają warunki, są węzły społeczne, dzięki którym mężczyzna w zetknięciu z nieprzyjaznymi żywioły, lub w starciu z wybuchami nieusprawiedliwionych uprzedzeń zostaje moralnie znieważony, zelżony, tak ciężko, tak niemożliwie. Ten producent przynajmniej w stosunku do rodziny, któremu tyrania wyjątkowych praw nie pozwala dochodzić krzywdy, szukać sprawiedliwości, czyliż nie zasługuje, aby mu wyjąć choć jeden cierń z okrwawionej piersi? Czy to jest służebnictwo odczuwać, rozumieć i podzielać takie gorycze?

Nie sądzę, aby kobieta tylko jako klucznica i samica zdolną była ocenić ważność swojego położenia: na to trzeba kobiety przez wieki wyrobionej, potrzeba współtowarzyszki i wychowawczyni pokoleń. Zacznijmy od zastosowania w życiu wzniosłej idei Świętochowskiego: „Spełniaj drobne idee, ale w bagnisku codziennych kłopotów zachowaj wielką duszę“ — a będziemy bardzo doskonale, bardzo kochane i bardzo szczęśliwe.

Prenumeratorka.

W DALI.

Łódź. Wobec dotkliwych strat, poniesionych w ciągu ostatnich lat siedmiu, Towarzystwa ubezpieczeń od ognia w okręgu fabryczno-łódzkim postanowiły podnieść premia asekuracyjne dla wszystkich fabryk o 30%. Niezależnie od tego, wszystkim fabrykantom, którzy po kilku razem dzierżawią jeden gmach, postanowiono podnieść premia o 50%. Nadto 25% ogólnej sumy ubezpieczeniowej każdy z tej ostatniej kategoryi fabrykantów obowiązany będzie przyjąć na własne ryzyko. Do okręgu łódzkiego, do którego zastosowano taki system obliczania, od dnia 1 kwietnia r. b. włączono powiaty: Łódzki, Łaski, Brzeziński i Łęczycki. — Według ostatniego spisu jednodniowego Łódź liczy 325,000 mieszkańców. Co do narodowości, sporo tu mieszka (oprócz znacznej liczby Niemców) Francuzów, Anglików, Bawarczyków, Austryaków, Czechów, Belgijczyków itd.

Odesa. Rynek miejscowy zasypany jest obecnie wyrobami z Królestwa, przeważnie z Łodzi. Oprócz zbytu w samem mieście, idą one z Odesy do Władywostoku, Persyi i Turcyi. Do Władywostoku przeważnie materyały na suknie damskie, tudzież kołdry i dywany wełniane. — Według zapewnień korespondenta *Gazety Polskiej*, transport bawełny dla Łodzi i innych ognisk przemysłu w Królestwie ulegnie gruntownym zmianom, a mianowicie zarówno Towarzystwo żeglugi czarnomorskiej, jak i koleje Południowo-Zachodnie, postarały się o zniżenie taryf dla przewozu bawełny do Królestwa, celem współzawodnictwa z przewozem austryackim. Uzyskano zatwierdzenie zniżonych taryf, a mianowicie przewóz z Port-Said do Odesy zamiast 16 kop., kosztować będzie 10 kop. od puda. Z Odesy do Łodzi (1,260 wiorst) zamiast 30,04 kop., wynosić będzie 16,76 kop. od puda, a do Sosnowca i Żyrardowa stosunkowo cokolwiek więcej. Równocześnie i koleje Południowo-Zachodnie z pobrzeża Dniestru i z Besarabii wywozić będą obecnie zboże do Odesy. Chodzi o to, aby usunąć konkurencyę portów Królewca i Gdańska, do których wysyłają zboże rolnicy z tych urodzajnych okolic. Taryfy ulegną zniżce od 15 marca do 15 listopada starego stylu. Przeciw zniżonym taryfom występują jednak kupcy drobniejsi, bojąc się współzawodnictwa wielkich firm zbożowych w Odesie. Wywóz cukru w ostatnich czasach zwiększył się znacznie. Od dnia 1 września do 1 marca przez komorę Odesy wywieziono 2,147,378 pud., czyli prawie połowę całego wywozu z państwa (5,745,378 pudów z całej Rosyi).

Saratów. Organ miejscowy donosi, że osoby, skazane na ciężkie roboty za uczestnictwo w zaburzeniach podczas cholery w r. 1892, zaliczono, na mocy ukazu Najwyższego z d. 1 maja tegoż roku, do kategoryi osiedleńców, a obecnie udzielono im prawa zapisywania się do ksiąg stanu mieszczańskiego w Syberyi, za zgodą miast tamtejszych. Skazani zaś na kary pomniejsze, za wykroczenia tegoż rodzaju, otrzymali prawo powrotu do miejsc urodzenia, z pewnego rodzaju ograniczeniami, albo też zupełne ułaskawienie.— Saratowskie Towarzystwo dobroczynności przy kościele katolickim r. 1896 liczyło członków 70. Finanse są następujące: przychód wynosił w r. 1894—2,388 rs., w 1895 r.—5,338 rs., w 1896 r. — 7,557 rs.; rozchód: 1894 r. — 1,828 rs. 1895 r. — 3,145 rs. i 1896 r. — 3,139 rs. Na 1897 r. pozostało 4,417 rs. W 1896 r. z przedstawienia amatorskiego, wieczorów i loteryi wpłynęło czystego dochodu 2,067 rs. Utrzymanie przytułku dla starców (6 osób płci obojej) kosztowało 736 rs. Towarzystwo wydało na to 362 rs., resztę pokryły ofiary. W r. z. jednogłośnie wybrano p. F. Szymańskiego na członka honorowego za jego pracę dla dobra Towarzystwa; na takiegoż członka wybrano również panią Maszkowską, za organizacyę przedstawień amatorskich na rzecz Towarzystwa. Zarząd Towarzystwa składają obecnie następujące osoby: prezesem jest proboszcz, hr. Szembek, członkami: A. Budkiewicz, L. Zaborski, P. Zabiełło, A. Smoliński, ks. J. Kasperowicz, K. Zaleski, J. Brzeziński, J. Lasski i F. Szymański. Komisyę rewizyjną stanowią pp.: B. Ruszczykowski, S. Podgórski i J. Auer.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Postanowiono ludność roboczą, udającą się z Królestwa Polskiego za granicę na zarobek, zaopatrywać w paszporty bezpłatne. Wydawać je będą tylko niektóre urzędy powiatowe na lewym brzegu Wisły, mianowicie: w pow. Nieszawskim i Włocławskim gub. Warszawskiej; Kolskim, Konińskim, Słupeckim, Kaliskim, Tureckim, Sieradzkim i Wieluńskim gub. Kaliskiej; Będzińskim, Częstochowskim i Noworadomskim gub. Piotrkowskiej. Wydawać paszporty półroczne będą wyłącznie naczelnicy powiatu za pośrednictwem gminnem, przyczem dostawać mogą owe dowody, ważne na półrocze letnie, od 13 kwietnia do 13 października, wszyscy włościanie pełnoletni, z wyjątkiem tych, którzy nie odbyli jeszcze powinności wojskowej. Nieletni lub kobiety zamężne mogą również otrzymywać paszporty za pozwoleniem mężów i opiekunów.

— Według doniesień dzienników petersburskich, ministeryum wyjaśniło, iż adwokaci, inżenierowie, lekarze i wogóle osoby profesyj wyzwolonych, nie płacą podatku mieszkaniowego od salonów do przyjęć, gabinetów swoich itd.

— Zatwierdzono ustawę towarzystwa „Rzemieślnik“ w Warszawie, którego zadaniem ma być szerzenie umiejętności rzemiosł.

Szkoły. Kilku fotografów warszawskich wystąpiło do władzy z podaniem o szkołę fotograficzną normalną w Warszawie, z wykładem przedmiotów pomocniczych.

Pokątni doradcy. Grono adwokatów wręczyło prezesowi Zjazdu sędziów pokoju memoryał w sprawie walki z pokątnymi doradcami. Wyrażono życzenie: 1) Ażeby deklaracye, ściągane od osób, nienależących do grona obrońców, sędziowie odsyłali bezpośrednio w czasie jak najkrótszym do Zjazdu, zamiast dołączania ich do akt, jak się to dotychczas praktykuje; 2) ażeby sędziowie pokoju zaprowadzili kontrolę osób, stawających w charakterze pełnomocników stron, a nie należących do liczby obrońców; 3) ażeby deklaracye ściągano nietylko od tych, którzy stają osobiście, lecz i od osób, które żądają osądzenia sprawy bez ich stawiennictwa, lub też nadsyłają podania pocztą i ażeby złożenia deklaracyj takich żądano przy odbiorze dowodów, wyroków itp.; 4) ażeby obowiązek ściągania deklaracyj zastosować i do tych, którzy zajmują się prowadzeniem spraw cudzych nie w charakterze pełnomocników do zarządu majątkiem, lecz na zasadzie ogólnej plenipotencyi regentalnej do prowadzenia wszystkich spraw sądowych; 5) ażeby polecono komornikom sądowym niedopuszczać do czynności egzekucyjnych osób, które w sprawie udziału nie brały, ani też nie są obrońcami stron; 6) ażeby prezes zwrócił się do oberpolicmajstra o przedsięwzięcie odpowiednich środków w celu zabronienia osobom, niemającym do tego prawa, zajmować się prowadzeniem spraw sądowych bądź pod swojem wła

snem nazwiskiem, jako nabywców dowodów i tytułów, bądź w imieniu mocodawcy.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić na osiem miesięcy wydawnictwo gazety *Minskij Listok*.

Zdrowie publiczne. Minister skarbu pozwolił na przywóz bez opłaty cła surowic przeciwbłonicowych, dozwolonych przez radę lekarską.

— Przy Towarzystwie ochrony zdrowia publicznego powstanie komisya do walki z alkoholizmem.

Koleje i komunikacye. Towarzystwo kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wyraziło chęć skupu drogi Łódzkiej za sześć milionów rubli. W takim razie ułożonoby drugą linię szerokotorową od Koluszek do Łodzi. Nadto kolej Wiedeńska projektuje budowę nowej linii wązkotorowej z Piotrkowa do Kutna przez Pabjanice, Łódź, Zgierz i Łęczycę

— Z nowym rozkładem letnim wprowadzone będą bilety komunikacyi bezpośredniej między Warszawą a Londynem i odwrotnie, przez Aleksandrów, Berlin i Brukselę.

Wystawy i zjazdy. Centralne Towarzystwo rolnicze czeskie urządza 15—18 maja r. b. w Pradze czeskiej międzynarodową wystawę rolniczą, przy której będą działy osobne produktów przemysłowych i artykułów spożywczych. Deklaracye przyjmowane są do 1 maja.

Dobroczynność. Z ofiary dobroczynnej powstanie za rogatką wolską dom, w którym znajdą pomieszczenie i całodzienne utrzymanie rzemieślnicy zniedołężniali, Żydzi.

Katastrofy. Na kolei Bałaszowskiej, pomiędzy stacyami Liski a Korotojak, rozbił się pociąg pocztowy, idący z Woroneża. Wagon pocztowy stoczył się z nasypu wysokości trzy sążnie i pociągnął za sobą dwa sąsiednie. W pierwszym, który przewrócił się do góry dnem, stracił życie woźny. Urzędnik, rozwożący pocztę, ocalał. W pozostałych wagonach nikt nie ucierpiał. Przypuszczają, iż powodem katastrofy było podmycie plantu.

Pożary. Nowy oddział przędzalni pod firmą Briggs i Posselt w Markach pod Warszawą zniszczył ogień. Straty wynoszą 600,000 rs.

— W Szamrajówce, gub. Podolskiej, spaliła się stadnina hr. Branickiej. Stajnie widocznie podpalono w kilku miejscach. Zginęło 130 koni, ocenionych na 130.000 rs. Spłonęły także ogromne zapasy owsa. Zarządzający stadniną, p. Świętkiewicz, pod wrażeniem tej klęski zmarł, rażony atakiem sercowym. Stadnina białocerkiewska, utrzymywana w Szamrajówce, słynęła w całej Europie ze swoich koni czystej krwi angielskiej. Na licytacye przyjeżdżali co rok kupcy i sportsmeni całego świata.

Zmarli. Generał-gubernator wileński, Orżewskij.

— Paweł Giffard, mechanik i pisarz w zakresie aeronautyki, zmarł w Nizzy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu K. Zdziechowskiemu w Moskwie. Odpowiedź nasza nie dotyczyła Pana.

Pani Z. B. w Londynie. Zamieszczenie listu nie miałoby celu i skutku, trzeba się porozumieć ze specyalistami osobiście. Przedewszystkiem zaś należałoby zawiązać stosunek z gronem osób, które w Warszawie opracowywa rozumowany katalog dla samouków, w części już przygotowany do druku.

Sprostowanie. W nr. 15 *Prawdy*, str. 177, szp. 2 w. 45, zamiast: „powołanie na tron *córki*," powinno być: „powołanie na tron carski."

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Апрѣля 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.